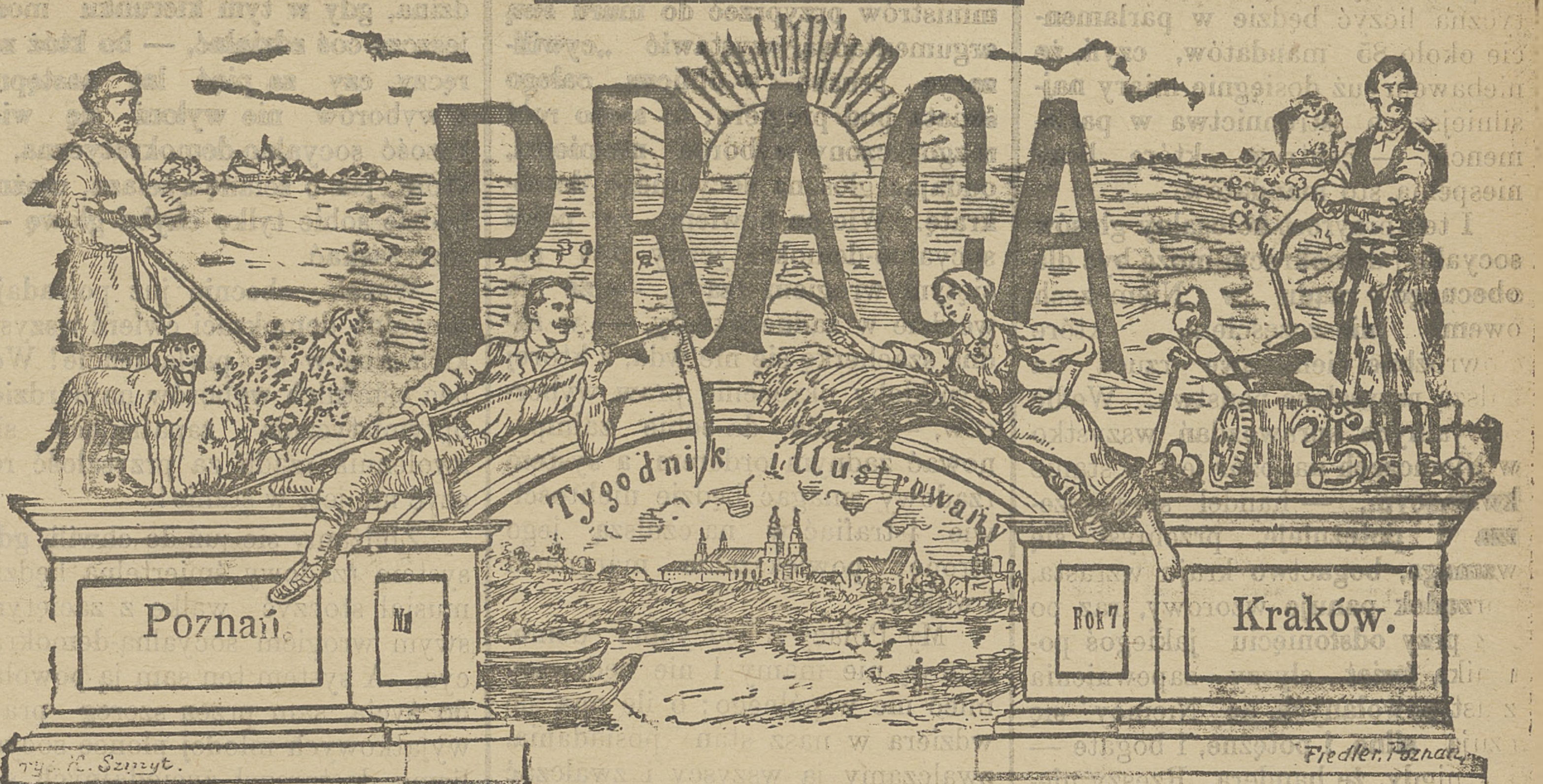
Nr 53. Poznań, dnia 30-go sierpnia 1903. Rok VII.



Czarna księga.

Od kilku tygodni prasa nasza dyskutuje nad projektem wydawania czarnej księgi. Mają w niej znaleść pomieszczenie nazwiska kurczycieli ojczyzny, przedewszystkiem kolonizatorów.

Gdyby projekt ten wyszedł z łona społeczeństwa naszego, możnaby zwątpić o dojrzałości jego. — Na szczęście jest on naleciałością.

Na szczęście,—gdyż czy można spodziewać się po zszeregowaniu i publikowaniu kilkudziesięciu hańbą okrytych nazwisk rzeczywistych skutków? — Czy projektodawcy są może zdania, że czarną księgą obudzi się opinią i sumienie w społeczeństwie? — Ten wyrzutek społeczeństwa, którego nie pali wstydem pogarda szlachetnych, — wzdrygnie ramionami, kiedy nazwisko jego pomieszczą w szeregu jemu podobnych. A społeczeństwo, w którem nie obudziły sumienia prześladowania polskiego żywiołu, — które nie cierpi na wiadomość, że nowy kawał polskiej ziemi przeszedł na zawsze w obce ręce, — któremu dopiero potrzeba czarnej księgi, aby się nauczyło pogardzać pogardy godnymi a płakać nad krzywdą polską, — społeczeństwo takie byłoby ostatniem, nie byłoby godnem zachodu.

Czarna księga! Mamy ją wszyscy w sercu i bolejemy nad tem, że tak wielki stał się zastęp zaprzańców, sprzedawczyków. — Bolejemy i dosyć wstydu, że się to wszystko stało, — nie potrzeba hańby publikować i obwieszczać światu.

Tylko dla dzieci szkolnych — pisze się książki klasowe.

Mamy w sercu czarną księgę. A znajdują w niej pomieszczenie nietylko kolonizatorzy. — Ci wszyscy, którzy dziś jeszcze omijają sklepy polskie ,którzy w źle pojętej oszczędności kupują żydowską tandetę, czy oni lepsi od kolonizatorów? — Albo ci, którzy setki i dziesiątki tysięcy oddają w depozyt „Landszafcie“ lub w „Ostbanku“ i pasą polskiemi pieniędzmi hakatystów. Pan generalny dyrektor „Landszafty“ czy mógłby tak dumnie nosić głowę i pierwszy głos zabierać w spółce hakatystycznej, gdyby nie polskie pieniądze?

Mamy tak piękne i świetne polskie instytucye bankowe, instytucye, które działalnością swą zapisały najchlubniejszą kartę historyi naszej, — a mimo to większość kapitalistów polskich je omija i dopiero wtedy pamięta o nich, kiedy się stara o pożyczkę. „Ostbank“ całe dziesiątki milionów ma polskich depozytów.

Jakże wielką potęgę tracimy w ten sposób i oddajemy ją na obce usługi. Od tych strat nie uratuje nas sto czarnych ksiąg, — tylko poczucie, że tu potrzeba zestrzelenia wszystkich sił, tkwiących w jednostkach.

Największym wrogiem naszym to nieznajomość własnej potęgi, którą mamy i z której nie robimy użytku. Nieprzebrany kapitał indywidualnej energii rozstrzeliwa się i marnieje lub obcym służy. — Brak zespolenia i brak energii a w społeczeństwie brak odwagi powiedzenia sobie prawdy w oczy — to klęski nasze największe. — a zarazem ogromne pole dla rąk żądnych pracy.

Vester.

Rząd a socyalizm.

Jednym z najwybitniejszych wyników ostatnich wyborów, — wynikiem, na którego doniosłość już zwracaliśmy uwagę w „Pracy“ bezpośrednio po wyborach — jest kolosalne wzmocnienie partyi socyalno-demokratycznej w Niemczech.

Fakt ten dotyczy nas Polaków, jedynie *pośrednio*, bo na gruncie naszego społeczeństwa walczącego o swe prawa narodowe nie dał się ten wzrost potężnej „partyi przewrotu“ zauważyć. Gdzie powiewa nasz sztandar narodowy biało-szafirowo-amarantowy, tam socyalno-demokratyczna czerwona chorągiew nie miała miejsca dla siebie, bo hasła narodowe obejmują wszystkie inne stronnictwa i są *po nad ich* programy wyższemi.

Natomiast w Niemczech wzrost liczby mandatów uzyskanych przez socyalną-demokracyę, jest nieby-

wały. Partya socyalno - demokratyczna liczyć będzie w parlamencie około 85 mandatów, czyli, że niebawem już dosięgnie miary najsilniejszego stronnictwa w parlamencie. — centrum, które liczy niespełna sto mandatów.

I ten przyrost kolosalny głosów socyalnej demokracyi może być dla obecnego rządu w Niemczech owem nieszczęściem, które złowróżbne cienie swe rzuca na dalszą przyszłość państwa. Wedle oficyalnych sprawozdań wszystko w Niemczech napozór jest w stanie kwitnącym, — handel się rozszerza i potężnieje, przemysł się wzmaga, bogactwo kraju wzrasta, porządek panuje wzorowy, raz po raz przy odsłonięciu jakiegoś pomnika świat słyszy zapewnienia z ust powołanych, że Niemcy się czują silne, i potężne, i bogate — jak nigdy, że bandera Rzeszy niemieckiej na wszystkich morzach całej kuli ziemskiej powiewa wspaniale i zwycięsko, — a tymczasem w kraju samym, w Niemczech odzywa się jakby z podziemi głuchy, a coraz potężniejszy pomruk echów złowieszczych: *Nieprawda! Nieprawda!*

Ilekroć nowe nadejdą wybory, miljony nowe głosów socyalno-demokratycznych gromadzą się, szeregują się w opozycyi przeciw rządowi, zadając wymowny kłam wszelkim oświadczeniom parlamentarnych mówców o panującem w państwie zadowoleniu.

Bo w rzeczy samej, cóż znaczy ten potężny wzrost socyalnej demokracyi? Znaczy to, że większa część ludności państwa niemieckiego sposobi się do opozycyi na dobre przeciw militaryzmowi, przeciw powiększaniu wojska i floty, przeciw obecnie wszechwładnemu panowaniu biurokratyzmu, przeciw skrępowaniu swobody słowa, przeciw cłom ochronnym na artykuły spożywcze.

Klęska, jaką rząd poniósł w ostatnich wyborach, jest niebywałą w historyi nowego cesarstwa niemieckiego: to prawdziwa Jena dla obecnego systemu, przestroga pod adresem rządu: *zawróć z drogi!*

Nasz polski wyborca, czując się zadraśnięty w swych narodowych prawach przez system rządowy, daje głos na naszego kandydata narodowego w tem przeświadczeniu, że Polak poseł nie zaniecha w parlamencie ani jednej sposobności, gdzie będzie mógł rządowi odpłacić pięknem za nadobne, ministrów przyprzeć do muru swą argumentacyą, wystawić „cywilizacyę pruską“ w obliczu całego świata pod pręgierz; to samo robi rozgoryczony wyborca niemiecki, oddając głos na socyalnego demokratę. Wie on bowiem, że poseł socyalno-demokratyczny jest zaciętym wrogiem rządu, — że nie wejdzie w żadne układy, — w żadną szacherkę się nie wda, z której wynikłoby ukrócenie praw wyborców, — że nie da sobie zaimponować żadnym orderem, a system rządowy smagać będzie nielitościwie i trafiać w najczulszą jego stronę: powiększenie marynarki i wojska.

My Polacy z socyalną demokracyą nie mamy i nie będziemy mieć nic wspólnego: o ile ona się wdziera w nasz stan posiadania, zwalczamy ją wszyscy i zwalczać będziemy jako najgorszego wroga; ale o ile ona podkopuje system pruski, który ujął nas w swe kleszcze — z całą satysfakcyą śledzimy jej postępy i życzymy jej powodzenia.

I dojść może istotnie niebawem do tego, że ta fala socyalno-demokratyczna zdobędzie przewagę w parlamencie; niech jeszcze lat kilka w podobnie szybkim tempie wzrastają głosy socyalno-demokratyczne, jak wzrastały dotychczas, a następny okres legistratury może dać Niemcom taki parlament, który wszelkie projekty powiększenia wojska i marynarki, podwyższenia ceł itd. przyjmować będzie już w progu okrzykiem: *Do kosza!*

Rząd to czuje i z tem się liczy. I dlatego też, przewidując, iż niebawem może się znaleźć wobec nieprzepartego, żelaznego muru głosów opozycyjnych, dziś już przychylnem uchem nasłuchuje tu i owdzie odzywających się zdradzieckich zdań, że należałoby ukrócić wolność wyborów, — albo tym sferom, które najwięcej opozycyjnego ducha posiadają, to jest sferom robotniczym odjąć prawo głosowania, przywiązując je do pewnej wysokości opłaconego podatku, — albo prawo wybierania podwyższyć do 30 lat skończonych, gdyż młodzież 25—30 letnia jest przedstawicielką najradykalniejszej antyrządowej opozycyi.

Znaczy to: zmiana zasadniczych paragrafów konstytucyi.

Ta sprawa nasunie się parlamentowi w ciągu najbliższych pięciu lat niewątpliwie, rząd wie dobrze, że teraz jest ostatnia godzina, gdy w tym kierunku może jeszcze coś zdziałać, — bo któż za ręczy, czy za pięć lat następne z wyborów nie wyłoni się większość socyalno-demokratyczna, o którą, jak o ścianę z żelaza, można będzie sobie tylko chyba głowę — roztrzaskać.

Wszak obecnie już posiadają socyalni- demokraci ćwierć wszystkich głosów w parlamencie! Wobec ostatnich wyborów najbardziej optymistycznie zapatrujący się zwolennik rządu za przyszłość ręczyć nie jest w stanie!

Zbliżamy się już do chwili, gdy system rządowy śmiertelną będzie musiał stoczyć walkę z zaciętym swym wrogiem socyalną-demokracyą. A system ten sam ją powołał do życia, sam przez szereg praw wyjątkowych młodej płonce socyalizmu dostarczył życiodajnych soków, — sam też będzie zbierał owoce.

Wszechwładza policyi i szpiegostwo w życiu prywatnem ludności, przeciężenie podatkami na wojsko i marynarkę, bezbrzeżne projekty powiększania siły zbrojnej, wysokie cła, krępowanie swobody słowa na zebraniach przez zakazy i rozwiązywania, swobody zdania w prasie — przez śrubę procesową, — luksusowe wyprawy zamorskie, — te i tyle innych wyników obecnego systemu rządowego złożyło się na to, że z każdego kroku rządu, z każdego poruszenia na szachownicy politycznej wyrastali — jego grabarze.

Grabarzem tym dla obecnego systemu rządowego — jest socyalna demokracya.

I w sferach rządowych panuje konsternacya, popłoch, przerażenie. Drzemią w głębi każdego społeczeństwa duchy, które niczem zażegnać się nie dadzą, które nie dadzą się skrępować w paragrafy zakazów, i dziesięć razy powalane i podeptane — jedenasty raz stają znowu do walki, i walczą, dopóki nie zwyciężą. Takiego ducha same sobie wychowały nowożytne Niemcy!

Doniosłość położenia wytworzonego przez ostatnie wybory podwyższa jeszcze ta okoliczność, że — jak słychać — parlament ma być niezwłocznie zwołany, a to w celu uchwalenia nowych miljonów na wojsko. Całe Niemcy wyglądają już dziś jak jeden wielki jeż kolczasty, lecz rządowi mało wido-

cznie jeszcze bagnetów: chce więcej!

Co z tego wyniknie, łatwo przewidzieć. Nie sądzimy, przy powierzchownem nawet szacowaniu stosunku liczebnego stronnictw, aby się miała znaleźć większość dla podobnych projektów. Odrzucenie projektu łatwo zaś może doprowadzić do rozwiązania świeżo obranego parlamentu — i ponownych wyborów.

„Nowy kurs" raz jeszcze zechce postawić na kartę i w ponownych wyborach szukać lepszej szansy.

Lecz to są tylko przypuszczenia. Co leży bliżej — to niezmierna doniosłość zbliżających się wyborów do sejmu. Nie wahamy się twierdzić, że nietylko dla nas Polaków, ale wogóle wybory do sejmu ważniejsze są od wyborów do parlamentu. W sejmie rząd pruski posiada obecnie większość posłuszną na każde skinienie. Dzięki temu może robić, co mu się podoba.

Z Prus wychodzący prąd policyjno biurokratyczno - militarny opanował całe Niemcy i wytworzył obecną sytuacyę. W Prusach dokonać się musi przełom w wyborach do sejmu, jeśli ma kiedykolwiek nastąpić naprawa stosunków.

I tu właśnie wielkie nadzieje pokładać można w przyszłych wyborach, które się odbędą na jesieni: bo socyalna-demokracya, która dotychczas z umysłu usuwała się od udziału w wyborach klasowych, tym razem stanie do wyborów i pokusi się o złamanie większości rządowej. Bóg raczy wiedzieć jakie stąd wynikną skutki. Ze dla rządu nienajlepsze — to pewna.

My Polacy, możemy spoglądać w przyszłość z ufnością. Niechaj stacza prusactwo walkę z robakiem, który je toczy wewnątrz, my wobec zalewu socyalnej demokracyi, tak samo jak wobec zalewu germanizacyi, stoimy niewzruszenie na wyniosłości, o której podnóże rozbijają się fale obu: tą naszą tamą, tą groblą, której nie wywróci żadna obca siła, jest nasza narodowość.

Kmicic.

Protest ks. kardynała Puzyny.

Protest księcia Biskupa krakowskiego kardynała *Puzyny* przeciwko wyborowi kardynała *Rampolli* na Papieża potępia z zupełną jednomyślnością a w bardzo stanowczy sposób cała prasa katolicka, zwłaszcza *polska*, z wyjątkiem dwóch konserwatywnych pism galicyjskich „Czasu" i „Przeglądu" lwowskiego.

O tym proteście ks. kardynała Puzyny pisaliśmy już kilkakrotnie w „Pracy". Ponieważ atoli sprawa nie była jeszcze należycie wyjaśniona, wstrzymaliśmy się z wypowiedzeniem własnego zdania. I dziś wprawdzie nie ma jeszcze zupełnej pewności co do najważniejszej dla nas kwestyi, a mianowiecie, *czy i o ile ks. Kardynał był w tym wypadku świadomem lub bezwiednem narzędziem także rządu pruskiego względnie niemieckiego?*

Tyle już atoli nagromadziło się w prasie doniesień wiarogodnych, uwag i wskazówek, że dziś można sobie w tej sprawie wyrobić sąd w przybliżeniu chociaż trafny i właściwy.

Ze stanowiska czysto *kościelnego* zasługuje protest ks. kardynała Puzyny rzeczywiście na *bezwzględne potępienie*. Wybór Papieża jest tak ważnym dla Kościoła i całego świata katolickiego, że musi być zabezpieczony od wszelkich wpływów świeckich.

Tak też zapatruje się na to Kościół, który stale przez usta namiestników Chrystusowych, książąt Kościoła i uczonych katolickich odmawiał wszystkim nawet najbardziej katolickim państwom prawa do mieszania się do wyboru Papieży; przedewszystkiem odmawiał im zasadniczo prawa „veto" przeciwko wyborowi tego lub owego kandydata do tyary. Jeźli mimo to katolicka Austrya w tym wypadku wystąpiła z protestem, to dała dowód, że świecki jej rząd nie umie czuć i myśleć po katolicku, nie umie uszanować praw i wolności Kościoła. Stokroć gorszym staje się atoli krok taki, gdy go w interesie *świeckiego* rządu podejmuje — książę kościoła, *Kardynał*. Słusznie powiada katolicka „Voce della verita," że nie chodzi tu już o szorstki i zuchwały sposób, w jaki założono „veto;" nawet mniej uprzejme objawy nikną wobec samego faktu zastósowania „veto," co jest *gwałtownym zamachem na wolność Kościoła*. Kardynał Puzyna dopuścił się więc faktycznie *zamachu* na wolność Kościoła, zgrzeszył ciężko przeciwko zasadom Kościoła i *okazał się poniekąd niegodnym wysokiego stanowiska, jakie zajmuje*. Co do tego nie może być dwóch zdań, tylko jedno jedyne, surowo potępiające ks. Kardynała.

Inna rzecz, czy na taką samą ocenę zasługuje protest kardynała Puzyny ze *stanowiska polskiego, narodowego?*

„Kuryer Poznański," który ze wszystkich pism polsko katolickich najdosadniej potępił ten protest Biskupa krakowskiego, uczynił to równocześnie ze stanowiska kościelnego jak i *narodowego*.

„Czyż właśnie — pyta — Kościół w Polsce nie jest narażony najwięcej na nadużycia i wpływy szkodliwe *rządów?* Tak w zaborze rosyjskim jak i pruskim — pisze „Kuryer" dalej — bronimy się wszelkiemi sposobami przeciwko ingerencyom nieuprawnionym władzy *rządowej*. Na każdym kroku odczuwamy fatalne ich skutki; biskupi i kapłani nasi na Sybir pędzeni lub we więzieniach razem z złoczyńcami trzymani, płacz dzieci wrzesińskich powinien przecie otworzyć oczy każdemu i dać poznać, że nie ma dla *nas nic niebezpieczniejszego jak wdzieranie się przewagi władz świeckich w dziedzinę religii*, w dziedzinę swobody i wolności Kościoła, a co zatem idzie także swobody i wolności sumienia. Tymczasem *polski* właśnie kardynał pozwala się użyć jako narzędzie do wymierzenia zamachu na wolność Kościoła i to przy jednem z najważniejszych zdarzeń tegoż Kościoła, przy wyborze *Papieża*."

Zachodzi teraz pytanie, jakiemi motywami kierował się *rząd*, w którego imieniu kardynał Puzyna założył „veto" — a więc rząd austryacki? Co do tego rozmaite jeszcze obiegają wersye. Jedne twierdzą, że rząd austryacki uczynił to zupełnie na własną rękę i z własnej inicyatywy. Kardynał *Rampolla* nie cieszył się życzliwością, ani uznaniem decydujących sfer austryackich.

Cesarz Franciszek Józef brał mu za złe, że uniemożliwiał mu stale *odwiedzenie króla włoskiego w Rzymie*, a tem samem utrzymanie dobrych stosunków z Włochami, o co Austryi bardzo chodzi. Dalej zaszły podobno poważne nieporozumienia między Wiedniem a kardynałem Rampollą, jako sekretarzem stanu w pewnych sprawach kościelnych na *Węgrzech*. Wszystko to sprawić miało, że w Wiedniu *obawiano* się wprost wyboru kardynała Rampolli. Gdyby wersya ta była zgodną z prawdą, w takim razie kardynał Puzyna byłby w tym wypadku tylko narzędziem świeckiej polityki *austryackiej*. Według innych atoli wersyi Austrya nie uczyniła kroku tego na własną rękę, lecz była podobno sama tylko *narzędziem trójprzymierza*, zwłaszcza zaś *Niemiec*.

Rząd niemiecki również był źle usposobiony dla kardynała Rampolli. Przyczyną tego miało być wrogie Niemcom stanowisko, jakie Rampolla zajmował wobec pretensyi niemieckich co do protektoratu nad misyami katoli-

ckiemi na *Wschodzie,* a także *co do zakusów germanizatorskich w polskich dzielnicach.* „Kraj“ petersburski, który posiada często dobre informacye z dziedziny kościelnej tak sobie to tłomaczy: „Wiadomo, pisze, że Watykan trzymał się opornie wobec domagania się rządu pruskiego, aby wpływem swoim poparł politykę germanizatorską i paraliżował działalność ks. Arcybiskupa *Stablewskiego,* którego rząd pruski uważa za najpotężniejszą opokę polskości. Kardynał Rampolla stanął w poprzek tym usiłowaniom i nie ukrywał wcale swej niechęci do osoby kard. *Koppa* i jego polityki. Ztąd gniew. Mając w Watykanie sojusznika, a nie przeciwnika, rząd pruski, tak sądzi, dałby sobie radę daleko prędzej z krnąbrną polskością. Miał więc rząd pruski powody do wystąpienia przeciwko kardynałowi Rampolli, a nie mogąc sam interweniować w świętem Kolegium, *zmusił do tego Austryę.*“

Tyle „Kraj.“ Wiadomo, jak rząd austryacki ulega sprzymierzonemu rządowi niemieckiemu, te więc informacye **„Kraju“ zasługują na wiarę.** Jeżli zaś sprawa rzeczywiście tak się miała, w takim razie nie można oszczędzić kardynałowi Puzynie zarzutu, że popełnił nietylko pod względem kościelnym, ale także pod narodowym krok *zdrożny,* że zapomniał zupełnie o tem, iż jest *Polakiem,* biskupem polskim, i że jako taki ma święte obowiązki względem swego narodu.

Co zaś mogło go skłonić do podjęcia tego niekatolickiego i nienarodowego kroku? Austro—Węgry posiadają przecie oprócz kardynała Puzyny jeszcze czterech innych kardynałów, dwóch Niemców, Węgra i Czecha.

Rząd astryacki zwrócił się rzeczywiście najpierw do innych dwóch kardynałów z tem żądaniem, ale wszyscy *odmówili,* wskazując słusznie na to, że uważają takie *„veto“* ze względów kościelnych za *bezprawne* i szkodliwe. Wówczas odwołano się do kardynała *Puzyny.* Trzeba wiedzieć, że kardynał krakowski dobił się wysokiego tego stanowiska nie własnemi wybitnemi zdolnościa**mi, lecz że zawdzięcza on je wyłącznie** ***protekcyi Stańczyków i łasce rządu.*** **Gdy więc rząd domagał się od niego tego kroku, zapomniał** ***o wszystkiem,*** **o swych obowiązkach kościelnych i narodowych i oddał się zupełnie na usługi rządu.**

Dochodzimy do konkluzyi:

Protest ks. Puzyny był zarówno ze stanowiska katolickiego jak i polskiego czynem zdrożnym zasługującym na stanowcze *potępienie.*

Jednakże należy podnieść także wzgląd, przemawiający poniekąd *„na korzyść“* ks. kardynała. Otóż kardynał Rampolla nie uchodził w *Krakowie* za przyjaciela Polaków. Opowiadają tam o nim, że np. *pielgrzymki polskie z Galicyi spychał podczas przyjęć w kościele św. Piotra rozmyślnie na szary koniec,* dając pierwszeństwo wszelkim innym narodowościom. Skarżył się podobno na to gorzko przewodnik tych pielgrzymek, niedawno zmarły ksiądz *Smoczyński.*

Czujny.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Kochany Gucio!

Zasmuciła mnie bardzo wiadomość o Twojej przegranej. Jeszcze bardziej strapił mnie Twój zamiar szukania szczęścia za Oceanem. Jeżeli Ci mam szczerze radzić, sprzedaj ostatnie zabytki dawnej świetności i wal z Monte do Poznania. — Tu nikt nie wie, gdzie się obecnie obracasz, a wróciwszy, powiesz, że słuchałeś n. p. ekonomii politycznej w Monachium. I tak się nikt nie pozna, że nie masz wyobrażenia o ekonomii.

Na przyjęcie Twe puszczę w „wiadomościach“ notatkę, że nasz znany młody ekonomista (ewentualnie wymyśl sobie inną branżę) przybywa, aby się oddać pracy na ojczystym zagonie.

Jakoś to będzie. Posada dla Ciebie się w każdym razie znajdzie. — Pod tym względem my w Poznaniu ogromnie szczęśliwie jesteśmy sytuowani. — U nas, że tak powiem, prawie że niema ludzi pospolitych, przeciętnych. Każdy uchodzi tu za znakomitość. — Prasa nie odzywa się o żadnym mieszkańcu Poznania inaczej jak: nasz znakomity, zaszczytnie znany, ceniony, wielki itp. Synowie obywateli naszych nie zdają inaczej egzaminów jak z odznaczeniem — z zasady.

Skoro więc zostaniesz mieszkańcem grodu naszego, pójdzie wszystko jak z płatka. — Czekają Cię tytuły, godności. — Bo u nas ogromnie łatwo o tytuł. Nie przypominam sobie człowieka w Poznaniu, któryby nie miał tytułu. —

Był tu podobno raz człowiek, który wyleciawszy ze wsi, spadł z żoną i liczną rodziną na bruk — bez tytułu. Odrazu zaopiekował się nim wiecznie czuwający, o wszystkich wiedzący areopag nasz — i oddano mu zaszczytną posadę „dyrektora“ świetnej naszej instytucyi, — którą on bezwarunkowo do niebywałego doprowadził rozkwitu.

Widzisz więc, że u nas każdą cnotę prawie jak w bajce zasłużona spotyka nagroda.

Jeżeli sam nie poczuwasz się do żadnych zdolności i do żadnego talentu, tem lepiej. Oddaj się tylko na łaskę i niełaskę naszemu areopagowi lub jednemu z członków towarzystwa wzajemnej adoracyi. (Adres Ci wskażę.) Wtedy będziesz miał tylko jeden obowiązek: wielbienie Twojego patrona. — wszystko inne jak manna spadnie na Ciebie z nieba.

Jeżeli zaś kompletnie jesteś do niczego, wtedy jest trudniejsza sprawa — i że tak powiem staniesz prędzej czy później jak Herkules na rozdrożu. — Droga na lewo prowadzi prosto na „kółko,“ gdzie ogromnie łatwo zarobić na chleb codzienny i zdobyć sobie wiele zaszczytnych znajomości, — droga na prawo zaprowadzi Cię zaś bezpiecznie przed ołtarz gwoli ślubów małżeńskich z córką zasłużonego naszego obywatela X.

Tak więc przyjeżdżaj. Prawda, byłbym zapomniał dać Ci najpotrzebniejsze ostrzeżenie: na miłość Boską, nie kontruj tylko nikomu, kto należy do wzajemnej adoracyi. Czasem, kiedy taki pan przemawia, wpatruj się w niego osłupiałemi z zachwytu oczyma i uśmiechaj głupkowato, kiwając głową.

Powodzenia, Twój szczerze Cię miłujący. *Fredzio.*

Przypisek redaktora: List powyższy dzięki pomyłce zecera naszego dostał się do „Pracy“ zamiast kroniki tygodniowej. Przepraszamy za niedyskrecyą i zaręczamy, że starać się będziemy ją naprawić.

Uwagi powyborcze.

II.

W zeszłym numerze podaliśmy uwagi powyborcze dotyczące Slązka, dziś zwracamy oczy nasze ku wychodźcom w Westfalii i Nadrenii, gdzie nasi wychodźcy swem głosowaniem wytworzyli sytuacyę nieprzewidzianą.

Fakta są znane i niema potrzeby szeroko się rozwodzić nad nimi: W trzech okręgach, mianowicie Duisburg, Gelsenkirchen i Bochum Polacy głosowali na osobnego, narodowego kandydata i wskutek utraty ich głosów centrum utraciło te trzy okręgi bez ściślejszych wyborów.

Oto nagi, suchy fakt.

Jakie ztąd wnioski!

Podniosły się tu i owdzie głosy, potępiające postępowanie naszych wyborców. Polacy powinni byli głosować na centrowca — tak brzmią owe głosy.

Jest to zapatrywanie błędne, a błędne nie ze złej woli, lecz z nieświadomości stosunków — oraz nierozpoznania istotnego znaczenia tych wyborów.

W kilku słowach zaznaczymy nasze stanowisko i gorąco w obronę weźmiemy tych, którzy za naszą poradą i wskazówką „Wiarusa" w Bochum oddali głosy na „swego."

Przedewszystkiem jest jeden zasadniczy wzgląd, mianowicie znaczenie wyborów i oddanie głosu na Polaka — dla naszych wychodźców. Już w wyborach w Duisburgu przed 2-ma laty zaznaczyliśmy, że każde głosowanie na narodowego polskiego kandydata orzeźwiająco wpływa na tysiące naszych braci na wychodźtwie. Polak się zapala z natury swej łatwo, a ztąd wynika, że przez agitacyą na narodowego kandydata setki zobojętniałych już wychodźców na nowo zostają wciągnięte do ruchu polskiego przez tych żywszych i gorętszych współbraci, którzy wręcz wyszukują polskich wyborców i ciągną ich do urny wyborczej. Tej ogromnej korzyści rozbudzającej nic innego nie zastąpi. *Potwierdzi nasze zdanie każdy Komitet wyborczy na obczyźnie, że każde takie wybory „na swego" ożywczo działają na setki ludzi o obumarłem już uczuciu polskiem.*

A drugi wzgląd niemniej lokalny — to wzgląd na opiekę duchowną. Polacy za wiele krzywd na tem polu doznają zwłaszcza w Westfalii i Nadrenii, aby nie mieli przemówić przez odstrychnięcie się od centrum — do rozumu niemieckiego duchowieństwa, skoro apel do jego uczucia przebrzmiał bez skutku. Nikt na swoją skórę bicza nie kręci — i centrum skoro się spostrzeże, że w tych 3-ch (a i innych wielu) okręgach zależy od wyborców, postara się o polskich kapłanów dla naszych wychodźców.

Lecz są i inne względy, niemniej ważne.

Mówią zwolennicy głosowania za centrum, że polskie głosy z natury rzeczy powinny paść nad Renem na centrowca. Dobrze, zgoda na to. *Ale czy w takim razie głosy centrowców nie powinny paść na naszego kandydata w kraju, tam gdzie my jesteśmy na własnych śmieciach?*

A cóż tymczasem widzieliśmy?

Oto, że wszędzie, gdzie się tylko dało, w Księstwie i w Prusach centrowcy postawili swych kandydatów przeciw naszym kandydatom. W Lesznie doszło do tego, że drukowali polskie odezwy nawet nawołując Polaków do odszczepieństwa przeciw naszemu kandydatowi, ks. Mojżykiewiczowi! Więc za to my mamy głosować na centrowca?

Czyż nie dość, że centrum opanowało święcie nam, Polakom, należące się mandaty górnośląskie. Więc ich jeszcze mało? Więc jeszcze i z Księstwa urywać nam chcą wyborców, — a my mamy głosować na centrum nad Renem?

Nie, panowie, nasz wyborca na wychodźtwie w Westfalii czy nad Renem lub gdzieindziej, ma już dzięki Bogu dość jasno w głowie, aby zdać sobie sprawę z położenia — a co więcej, ma dość uczucia *przynależności do kraju*, aby sobie powiedzieć: *wy stawiacie centrowych kandydatów u nas w kraju, my stawiamy polskich w Westfalii.*

Taki zimny prysznic był centrowcom niezbędny i ogół polski z całem uznaniem i wdzięcznością zwraca się dziś do dzielnych naszych wiarusów nad Renem i w Westfalii za to, co zrobili.

Bo zrobili bardzo mądrze.

Kraj z ich czynu korzyść mieć będzie — w przyszłości.

Jaką korzyść? Oto tę, że jeśli dotychczas centrowcy lekceważyli sobie liczbę wyborców polskich na obczyźnie i myśleli, że mogą nimi rozporządzać, jak martwym inwentarzem partyi centrowej — to przekonali się teraz, że *bez naszej pomocy w Westfalii i nad Renem* nic nie przeprowadzą. To znaczy, że nasze głosowanie ma dla nich decydującą wagę.

W polityce nie darmo Polacy na obczyźnie swem głosowaniem dali krajowi znakomitą wartość znamienną w przyszłych układach z centrowcami. Przyszły bowiem komitet centralny nasz powie: nie dacie nam pomocy w Księstwie, będziecie zwalczać naszych kandydatów na Slązku — to nasi wyborcy na Zachodzie nie będą was popierać i stracicie 3 mandaty. W polityce dla pięknych oczów nic się nie robi — każda przysługa ma swą wartość i swą cenę. Dotychczas kraj nasz przez nieznajomość stosunków zapatrywał się na głosy naszych Westfalczyków tak, jak gdyby to była bagatelka, którą dla idealnych przyjaźni centrowcom można poświęcić. O nie! teraz stało się jasne. Jeśli nasze wychodźtwo kiedykolwiek w przyszłości da głosy na centrowca — to musi wiedzieć, że nie na darmo. Tam — w Westfalii i nad Renem będzie ekwiwalent do pertraktowania z partyami o poparcie naszych kandydatów tu w kraju.

A to korzyść nie lada.

Poznańczyk.

Z lekarskich kół.

Z kół lekarskich wyszła piękna myśl nowej organizacyi, któraby wspólnych interesów stanu lekarskiego bronić mogła. „Dziennik Poznański" zamieszcza w nr. 183 nadesłany artykuł, — który niniejszem w części powtarzamy:

„Mamy w Niemczech przeszło 280 lekarzy Polaków, z tych przypada na Księstwo 180, Prusy 60, Slask około 30.

A jakąż mają organizacyę? Żadnej!

Każdy samopas dźwiga ciężkie brzemię zawodu, bezbronny wobec szykan, z jakiejbądź strony pochodzących.

Ależ są izby lekarskie! — zarzuci może ktoś. One mają zadanie bronić interesów lekarzy! W istocie mają to zadanie i wypełniają je — przynajmniej dotąd. Lecz któż gwarantuje, że i tu zawiść rasowa nie weźmie góry nad sprawiedliwością? Niestety zajścia dni ostatnich nasuwają pod tym względem najpoważniejsze obawy.

Dalej utworzyły się w ostatnich czasach silne związki lekarzy niemieckich, np. lipski związek, który w krótkim czasie zdziałał bardzo wiele.

Ma to jednak być powodem, żeby Polacy doń wstępowali? Owszem, gdybyśmy żyli w innych stosunkach politycznych, byłoby to materyalnie może najkorzystniejszem. Lecz u nas niestety stosunki są takie, że lekarze niemieccy i żydowscy mają zupełnie odrębne od naszych interesa, często na wskroś im przeciwne, ponieważ przez zapomogi rządowe i t. d. mają poniekąd zadanie polskich kolegów materyalnie osłabić. Jakby więc sprawa wypadła, gdyby ważyły się z jednej strony interesa Niemców, z drugiej Polaków?

Że równouprawnienie nie zawsze ściśle bywa przestrzegane w towarzystwach, na to mamy bijący w oczy do-

wód przy ostatnim strejku stolarzy w Poznaniu. Chrześciański (niemiecki) związek zawodowy polskim czeladnikom polecał szukać sobie gdzieindziej pracy, dając im małe kwoty na podróż, a niemieckich przez cały czas strejku utrzymywał i żywił. A wspomnijmy tylko zajścia w bractwie strzeleckiem i tyle innych podobnych!

Samo przez się więc nasuwa się pytanie, dlaczego dotąd lekarze Polacy nie połączyli się między sobą i nie utworzyli własnego związku? Wszakże w Galicyi już od szeregu lat istnieje związek taki, znakomicie prosperujący, a nawet wydający własny organ: „Głos Lekarzy“. Czyżby u nas miała być taka ospałość, taka osobista niechęć wzajemna, wynikająca niestety aż zbyt często z ciężkiej walki o byt, takie zmateryalizowanie, żeby nie udało się zjednoczyć wszystkich do jednego wspólnego ogniska?

Prawie możnaby tak sądzić.

Przytoczymy tylko dwa przykłady. W znanym procesie wrzesińskim spotkało dr. Krzyżagórskiego tego rodzaju lekceważenie jego świadectwa przed sądem, że z piersi każdego szanującego swój stan lekarza powinien był się wyrwać okrzyk oburzenia. Dr. Krzyżagórski czynił wszystkie możliwe kroki, by uzyskać zadosyćuczynienie. Napróżno! Starczyło w tym wypadku, że był lekarzem Polakiem, by jego świadectwo było mniej wartościowe. I cóż zrobili lekarze Polacy ku obronie pokrzywdzonego kolegi? Nic!

Druga sprawa, dotycząca dr. Stęślickiego w Hucie Laury w świeżej jest pamięci. Myślałby każdy, że wydarcie tajemnicy lekarskiej przez zbrojnych policyantów, wywoła u kolegów — w pierwszej linii rodaków — energiczny protest. A cóż nastąpiło? Cisza, przerywana tylko pisaniem recept i liczeniem zebranych za nie pieniędzy. Na głosy małej garstki oburzonych kolegów, niejeden odpowiedział: „Cóż mnie to obchodzi, niech sam sobie radzi!“

I to, na co nie mogli się zdobyć rodacy, zrobili Niemcy, w poczuciu, że w kwestyi tak zasadniczej, milczeć nie wolno. Całą prasę niemiecką przeszedł głos oburzenia, a lekarz niemiec, dr. A. Moll w *„Berl. Aerzte Correspondenz“* nie miał słów potępienia na takie postępowanie władz z lekarzem i nawoływał do najenergiczniejszego protestu nawet do parlamentu.

Gdyby była istniała jakaś organizacya lekarzy Polaków, z pewnością byłaby z całą godnością, ale i stanowczością wystąpiła w obronie kolegi i wydała hasło do protestu, nie czekając aż to zrobią Niemcy.

To też z zadowoleniem należy przyjąć wiadomość, że się coś dzieje celem obudzenia ducha solidarności i stworzenia jednolitej organizacyi lekarzy Polaków. Miejmy nadzieję, że nie znajdzie się w obrębie naszych dzielnic choćby jeden lekarz Polak, któryby chciał z jakichkolwiekbądź względów wyłączyć się od stworzenia dzieła, mogącego tylko chlubę przynieść całemu stanowi lekarskiemu“.

Z TYGODNIA.

Uwaga Europy zwraca się coraz bardziej ku *półwyspowi bałkańskiemu*, gdzie wypadki przybierają charakter naprawdę groźny dla pokoju europejskiego. Okazuje się jasno, że *Turcya* jest faktycznie niezdolną do zaprowadzenia w swych wilajetach europejskich stosunków, odpowiadających cywilizacyi europejskiej, że jeżeli pokona powstanie w Macedonii, to uczyni to w sposób tak barbarzyński, iż wielka ta dzielnica zamieni się na jeden wielki cmentarz miliona ludności chrześcijańskiej.

Samolubstwo mocarstw i narodów Europy tłumi wprawdzie jeszcze wszelkie współczucie dla nieszczęśliwych Bułgarów, walczących tam o swe prawa ludzkie i byt narodowy, ostatecznie atoli właśnie samolubne względy zmusić mogą mocarstwa do interwencyi. Jeżli bowiem walka w dotychczasowy sposób prowadzona pociągnie się dłużej, nic nie zdoła powstrzymać Bułgarów i Serbów w samodzielnych państwach tamtejszych od pospieszenia na pomoc mordowanym braciom. Z tego zaś powstać mogą takie polityczne komplikacye, że interwencya mocarstw stanie się konieczną.

Dziwnem w smutnej tej sprawie jest bądź jak bądź stanowisko *Rosyi*. Zawarła ona z *Austro-Węgrami* jak wiadomo t. zw. „entente cordiale“ do wspólnego zgodnego działania na półwyspie bałkańskim, mianowicie zaś do powstrzymania Serbii i Bułgaryi od kroków wojennych przeciwko Turcyi, i w celu zmuszenia rządu tureckiego do zaprowadzenia *reform w Macedonii i Staro-Serbii* na *korzyść chrześciańskiej ludności tamtejszej*. Tymczasem stwierdzono już dowodnie, że właśnie konsulowie rosyjscy w tych stronach są szczególnymi protektorami ruchu rewolucyjnego, że całem postępowaniem swojem zachęcają wprost chrześcijańską ludność tamtejszą do gwałtownych porywów. Gdy zaś drugi już z rzędu konsul rosyjski padł ofiarą wywołanej tam zemsty żywiołów tureckich, ta sama Rosya, która niema słowa współczucia dla powstańców tamtejszych, *„braci Słowian“* — domaga się od rządu tureckiego wprost przesadnego zadość uczynienia, a nawet uzyskawszy je, wysyła jeszcze silną eskadrę na wody tureckie. Sprawia to wrażenie, jakoby Rosya pragnęła wprost sprowokować Turcyą do wrogiego także względem niej wystąpienia. Jakie plany i zamiary kryją się po za tą polityką rządu rosyjskiego, trudno na razie dociec.

Dziwne to postępowanie Rosyi wywołało w każdym razie już pewną podejrzliwość u innych mocarstw. Jak słychać zarówno *Włochy* jak i *Anglia* zamierzają pójść śladem Rosyi i wysłać również silne eskadry na wybrzeża Turcyi. Uderza przytem, że *Rosya* coraz widoczniej zapomina o owej „entente cordiale“ z *Austryą i Węgrami* a działa coraz jawniej na własną rękę. Zdaje się niemal, jakoby wcale już nie uważała za stosowne w czemkolwiek jeszcze liczyć się ze swoim „sprzymierzeńcem.“ Co prawda, nie potrzebuje się też zbytnio z nim liczyć.

Jest to faktem smutnym, ale niezaprzeczonym, że Austro-Węgry w dzisiejszem swojem położeniu są niemal zupełnie niezdolne do jakiejś energiczniejszej akcyi *zewnętrznej*. Cóż bowiem może zdziałać państwo, które znajduje się niejako *w przededniu zupełnego rozbicia?* A taki los zawisł naprawdę nad tem państwem. Narodowe uroszczenia Węgrów przekraczają już wszelką miarę. Aby je sprowadzić do normalnych rozmiarów, udał się, jak wiadomo, cesarz *Franciszek Józef* do stolicy Węgier do Budapesztu. Madziarzy przyjęli go z ogromną radością, byli bowiem pewni, że teraz uzyskają wszystko, co tylko pragną; tymczasem gorzki ich spotkał zawód. Cesarz Franciszek Józef odpowiedział na żądania wybitnych polityków węgierskich, *że na żadne dalsze ustępstwa w dziedzinie armii przystać nie może*. Spełnienie żądań madziarskich doprowadzić by bowiem musiało do zupełnego rozbicia tej jedynej istniejącej jeszcze spójni, jaką tworzą Węgry z Austryą: *wspólnej armii* na dwie zupełnie obce dla siebie części, doprowadziłoby to w dalszym ciągu do zupełnego rozdwojenia obu części monarchii, a tem samem stałoby się *grobem dla mocarstwowego* jej stanowiska. To dzisiejsze jej stanowisko jest zaś dziełem Franciszka Józefa. Ocalił on je po klęsce r. 1866, po przejściach roku 1867. Więc chociaż czuje się starym i znużonym, chociaż należałby mu się już dobrze zasłużony spokój, na takie

zabicie monarchii póki żyć będzie, nie pozwoli.

To kategoryczne oświadczenie monarchy wywołało prawdziwą rozpacz w kołach węgierskich. Propagowane przez opozycyą żądania wojskowe stały się już żądaniami *całego narodu węgierskiego.* O wyrzeczeniu się ich nie może już być mowy. Cóż więc pozostaje? Walka z Austryą i wspólnym monarchą! Węgry znajdują się i dziś już w stanie „ex lex". tj. zupełnie bezprawnym. Parlament wskutek obstrukcyi nie mógł uchwalić budżetu, pobór podatków odbywa się więc bezprawnie, nadto władza wojskowa nie ma rekrutów, to też ustawa rukrutacyjna jeszcze nie uchwalona. Taki stan rzeczy łatwo zaś zamienić się może w gorsze jeszcze bezprawie, w *otwartą rewolucyą.* Wobec zapalności Madziarów łatwo to możliwe.

Cesarz *Franciszek Józef* zamierza wprawdzie popróbować jeszcze ostatniego środka: zamierza rozwiązać parlament, a przed nowemi wyborami odwołać się do Madziarów w odręcznym manifeście. Lecz czy to poskutkuje? Co do tego ogólna panuje wątpliwość. To pewna, że stosunki wewnętrzne Austro-Węgier nie tak rychło pomyślniej się ułożą. Zanim zaś to nastąpi, *Austro - Węgry* nie mogą odgrywać żadnej ważniejszej roli w koncercie mocarstw i Rosya na półwyspie bałkańskim faktycznie wolną ma rękę.

We *Francyi* zakończył się w ubiegłym tygodniu ów skandaliczny proces przeciwko małżonkom *Humbertom* i braciom *Daurignacom* o milionowe oszustwa, popełniane od lat 20, a wykryte w roku zeszłym. „Wielka Teresa," jak ogólnie nazywano główną sprawczynię tych oszustw groziła, jak wiadomo, że podczas procesu wyjawi szczegóły, które skompromitują wybitne sfery francuzkie, mianowicie członków byłego i obecnego rządu. Ogólnie więc oczekiwano wyniku procesu z wielkiem zaciekawieniem.

Tymczasem okazało się, że była to tylko bezpodstawna pogróżka. Wyszły wprawdzie w tym procesie na jaw szczegóły, nie bardzo pochlebne dla tak zw. wyższego towarzystwa dzisiejszej republiki; dowiedziano się, że nikt tam nie pyta, zkąd jakie indywiduum ma miliony, byle je miało, co już wystarcza do otwarcia mu dostępu do śmietanki towarzystwa, lecz naprawdę skompromitowanym nikt nie jest.

Głównym atutem „wielkiej" tej oszustki było nowe kłamstwo, wygłoszone pod koniec procesu dla obałamucenia opinii sędziów. I tak wystąpiła ona z twierdzeniem, że jest nieślubną córką byłego marszałka *Bazaina* i że rzekome miliony Crawffordów to suma, jaką Bazaine otrzymać miał od rządu pruskiego za poddanie wielkiej armii w Metzu w roku 1870. Potomkom Bazaina nie trudno było udowodnić, że twierdzenie to nie ma najmniejszej podstawy — na sędziów przysięgłych zaś „rewelacye" te wywarły wprost przeciwny skutek. To też uznali „zacną" tę rodzinę winną zarzuconej jej zbrodni, poczem sąd skazał „wielką Teresę" i jej męża na 5 lat więzienia, braci jej zaś na 2 względnie 3 lata.

Sensacya skończona, lecz bagnisty to musi być grunt, na którym tak cuchnące wyrastają kwiaty.

W *Niemczech* ubiegły tydzień przyniósł niespodziewaną na razie dymisyą sekretarza stanu dla finansów Rzeszy, pana von *Thielmana.* Następcą jego mianowany został *bawarski* dygnitarz i członek Rady związkowej baron *Stengel.* Thielman ustąpił podobno dlatego, że był zbyt lichym mówcą, nadto nie umiał utrzymać należytego kontaktu z sprzyjającemi rządowi stronnictwami.

Dla nas zmiana osób na tem stanowisku niema żadnego znaczenia. Ale nie można mu go odmówić pod innym względem. Fakt, że na to stanowisko powołano *Bawarczyka,* dowodzi, że zabiegi Bawaryi, mające na celu przyznanie jej większego udziału w rządzie Rzeszy, jednak odniosły skutek.

Inna sprawa bardziej nas dotyczy i zajmuje. Otóż rząd zaniechał zupełnie zamiaru *zniesienia ustawy przeciwko OO. Jezuitom.* Miała to być nagroda za grzeczne zachowanie się stronnictwa *Centrum* podczas obrad nad taryfą celną i w sprawach *polskich.* Tymczasem w kołach protestanckich zamiar ten napotkał na silną opozycyą. Wpływy tych kół dotarły widocznie do cesarza, bo od niego wyszło teraz polecenie zaniechania tej sprawy, przyczem cesarz miał się zwrócić do hr. *Bülowa* z wyrzutem, że nie informuje go należycie o usposobieniu ludności. My wiemy, że i w sprawach *polskich* cesarz jest źle poinformowany; ale zmienić tego nie możemy. Ojcowie Jezuici bądź jak bądź *nie wrócą do Niemiec, a Centrum* otrzymało za swe usługi nową — *figę.* Czy to otrzeźwi je nieco? *„Prowincya Śląska"* otrzymała już nowego naczelnego prezydenta. Jest nim dobry nasz znajomy, były naczelny prezydent Księstwa hr. *Zedlitz - Trützschler.* Jak wiadomo, nie pozostawił on u nas zbyt złego wspomnienia. „Uprzejmość" jego względem Polaków przyczyniła się nawet niemało do przygotowania gruntu do następnej *polityki ugodowej.* Czy się potem zmienił, nie wiemy. Gazety niemieckie piszą, że rząd posyła go dlatego na Śląsk, ponieważ i tam dziś powstała kwestya polska, hr. Zedlitz zna zaś Polaków i *umie się z nimi obchodzić.* Co to ma znaczyć? Czy prasa niemiecka sądzi, że prosta „uprzejmość" hrabiego zdoła coś zmienić tam na korzyść niemczyzny? Jeżli sądzi tak, to grubo się myli. Ruch polski na Śląsku przebył już dziecięce lata i ogniową próbę; nie da się więc sprowadzić z drogi ani *groźbą, ani prośbą.* Nas „pozyskać," może tylko *bezwzględna sprawiedliwość.*

K. O.

Przegląd prasy.

Z powagą i siłą zarazem prasa polska potępiła niegodny kardynała polskiego czyn *ks. Puzyny,* o którym piszemy na innem miejscu. Słusznie zauważyło lwowskie *„Słowo polskie,"*, *że kardynał Puzyna „bardziej niż Polakiem i Katolikiem uczuł się funkcyonaryuszem rządu austryackiego."* Nawet *warszawskie* konserwatywne *„Słowo"* bardzo pobłażliwe zwykle dla dostojników z swego obozu, dało naganę ks. kardynałowi w formie niedowierzania: „aby kardynał Puzyna dał się użyć za narzędzie trójprzymierza." Ba! nawet *„Kraj"* petersburski zaznacza, że ks. P. popełnił *błąd,* którego mógł był uniknąć." Z pism naszych, wielkopolskich warto jeszcze przytoczyć dwa głosy. I tak *„Goniec Wielkopolski"* nawięzując do wiadomości, iż ks. Puzyna *również odmówił ślubu kościelnego posłowi Korfantemu* krótkiem lapidarnem oświadczeniem: *„Jeden Bóg, jedno prawo"* — pisze:

> „Gdzie jest to jedno prawo? Jak ono wygląda wobec nas, jak je zastosowują centrowcy? A jak się ma rzecz z prawem niezawisłości Kościoła? Jak je pojął kniaź Puzyna, który na nie wprost uczynił zamach, stając *się narzędziem w rękach rządu austryackiego* — i stojącego za nim trójprzymierza, jaką ten „polski" kardynał odegrał rolę w Rzymie, jakiej podjął się misyi, której żaden inny podjąć się nie chciał kardynał austryacki?!"

Przytaczając zaś uwagę *„Kuryera Poznańskiego"* o *chorobie* ks. Kardynała *„Goniec"* taki robi dodatek od siebie:

> „Jest to publiczną tajemnicą, że „ks. biskup krakowski jest *ciężko chory."* Obowiązkiem więc konsystorza jest czuwanie nad postępowaniem chorego, a jeżeli choroba przybiera groźne objawy, postaranie się o użycie środków, przepisanych prawem kanonicznem. Obecnie staje się to wprost konieczne

wobec pozornie słusznej niechęci, jaką veto Puzyny ściągnąć może wogóle na Polaków i wobec coraz częściej powtarzających się ataków epileptycznych kardynała, żądających niezwłocznego zaprowadzenia w dyecezyi krakowskiej stanu „episcopo invalido.“ “

„*Postęp*“ zaś dochodzi do smutnych wniosków co do „*wielkich*“ naszych polityków, czy to w sutannie, czy w purpurze lub we fraku ministeryalnym. Oto, co pisze:

„Już to z naszymi wielkimi politykami nie mamy wcale szczęścia; gdy się zaprzęgą do rydwanu *obcego, to nie pamiętają o tem, że są Polakami.* Tak postępuje oddawna hr. *Gołuchowski*, minister austro-węgierski dla spraw zagranicznych. Odbiera on ordery od rządu pruskiego, ale w niczem się nie ujmuje za polskimi poddanymi austryackimi, których niemiłosiernie z Prus wydalają, gdy tymczasem w Galicyi i wogóle w Austryi poddani niemieccy nie doznają takiego losu. Dalej gdy skasowano adresy polskie, hr. Gołuchowski ani palca nie skrzywił, choć ciąż to należało do międzynarodowych spraw. — Lecz mniejsza o Gołuchowskiego, innym powinien być kardynał polski, jakim jest ks. biskup Puzyna, „chorobliwość jego w niczem go nie uniewinnia.“ Ale ks. kardynał Puzyna już oddawna jest znany jako lichy Polak, a jeszcze lichszy dyplomata kościelny. Po cóż to takiego człowieka forytować dopiero na wysokie i odpowiedzialne stanowisko?“

My dodamy do tego, że rząd austryacki dobrze widocznie wiedział, kogo forytuje na biskupią stolicę krakowską i do purpury kardynalskiej, że będzie w nim miał powolnego sługę do — *wszystkiego.*

Dyskusya w sprawie ratowania ziemi nie schodzi jeszcze z łamów prasy naszej, co uważamy za objaw bardzo pomyślny. Obok własnych głosów dzienników pojawiają się coraz częściej głosy *wybitnych obywateli naszych.* W sedno trafił z nich mianowicie przezacny p. *Julian Brzeski z Krotoszyna,* który jako *główny warunek* utrzymania się przy ziemi wymienia *oszczędność.* Wzorowy ten pod każdym względem obywatel ziemianin pisze w „*Dzienniku Poznańskim*“:

„Na Kółkach włościańskich napominamy członków, ażeby książki gospodarcze prowadzili, a jakże my nasze prowadzimy? Obyśmy najprzód od siebie zaczęli, a zapisywali każdy trojaczek, dopierobyśmy się przekonali, że *nad stan żyjemy* — o czem nieraz nie wiemy — nie prowadząc należycie kasy. Jak często się zdarza, że w dwutysiączno-morgowem gospodarstwie są nie jedna, ale trzy kasy: dziedzic ma kasę, urzędnik ma kasę i dziedziczka ma kasę, gdy tymczasem powinna być jedna kasa i jeden kasyer, bo „gdzie kucharzy sześć, tam nie ma co jeść.“ Wtenczas ten jeden kasyer z tą jedną kasą pod ręką łatwo pozna, że domów naszych nie da się po dziś dzień utrzymywać na wielkopańskiej stopie, będzie się wtenczas starać oduczyć czułą małżonkę od trzymania *zbytniej służby, zakaże* te rozliczne *wyjazdy po sprawunki* — które budżet dziedzica zbytnio przeciążają, nie pozwoli na zbytkowne *stroje dla żony* i dzieci i siebie, a żona mając więcej zajęcia, znajdzie *zamiłowanie w gospodarstwie, nie będzie się nudzić na wsi, nie będzie wzdychać za wielkomiejskiemi teatrami i koncertami.*

„Wściekła ta mania wielkopańskości i rozrzutności już niejednego na kolonizatora wykierowała. Majątek 2000 morgowy obarczony landszaftą i jeszcze innymi długami, nie jest w stanie wydać tyle na czysto, aby na takie lekkie, pańskie życie starczyło, zaciąga się więc dług dalszy i po latach, nawet kilku, przychodzi ruina, a wtenczas temu wszystkiemu winno opłakane gospodarstwo, które nic nie przynosi.“

W „*Dzienniku Kuj.*“ pojawiła się niedawno skarga na nasze *banki parcelacyjne,* że zamiast ratować faktycznie ziemię polską, one uprawiają głównie spekulacyą celem wygospodarowania możliwie największego zysku i wysokiej dywidendy. Na to odpowiada inny czytelnik tego pisma:

„Spółki naszą krwawicą pracujące *nie mogą zawsze tak samo płacić za ziemię* jak setkami bezprocentowych milionów rozporządzająca komisya kolonizacyjna, która gdy chodzi o zaokrąglenie jakiego obszaru dla uciśnionej niemczyzny nieraz płaci daleko więcej ponad rzeczywistą wartość ziemi.

„Nie rośćmy zatem zbyt wygórowanych pretensyi do naszych instytucyi ratunkowych, gdyż fundusze spółkowe wnet by się wyczerpały, lecz kontrolujmy ściśle *ich działalność*, aby ratowały wtedy, gdy *bez uszczerbku dla siebie ratować mogą.* Przedewszystkiem zaś uważajmy ziemię w posiadaniu naszem będącą za świętą i nietykalną spuściznę po ojcach naszych; zabiegajmy około tej ostoi naszej, o ile sił i tchu nam starczy, kochajmy ją jak matkę-żywicielkę każdem drgnieniem serca naszego, a nie będziemy się potrzebowali jej wyzbywać i nie będzie sprzedawczyków między nami, których opinia społeczeństwa polskiego wszystkich bez wyjątku niemiłosiernie jako matkobójców piętnować winna.“

Z ciekawem zdaniem o naszych *sprzedawczykach* wystąpił w „*Dzien. Pozn.*“ znany a zasłużony profesor Dr. *Jordan* z Krakowa. Czcigodny profesor pisze między innemi:

„Uważam za obowiązek zwrócić uwagę na fakt, iż od czasu zaprowadzenia komisyi kolonizacyjnej nie *zaszedł ani jeden przypadek w Wielkopolsce, by bankrut, stojący nad przepaścią ruiny majątkowej strzelił sobie w łeb, nie mogąc zdobyć się na haniebną odwagę podpisania kontraktu sprzedaży komisyi swej ojcowizny,* jak również nie zaszedł ani jeden podobny przypadek po dokonanej sprzedaży z poczucia hańby i jako jedyny sposób ujścia powszechnej wzgardzie. To fakty prawdziwe i dziwnie smutne, bo świadczą, *z jak lekkiem sercem* i bez poczucia szkarady czynu szlachta wielkopolska składa majątki swoje u stóp wroga i jak łagodnie — nie chcę powiedzieć obojętnie — fakty sprzedaży przyjmuje i ocenia opinia publiczna, wśród której sprzedawczyki spokojne życie wiodą. Coś podobnego byłoby gdzieindziej n. p. w *Czechach* niemożebne; ktokolwiek zna ten kraj przyzna, że tam nie znalazłby się sprzedawczyk, a gdyby się znalazł, wywołałby w całym kraju tak straszne i powszechne oburzenie, że z pewnością w nim by się nie ostał; poczucie krzywdy i zniewagi, ojczyźnie wyrządzonej, wstrząsłoby do głębi Czechem każdym; tam nie byłoby miejsca dla rozwagi, okoliczności łagodzących, konieczności ratowania resztek fortuny lub zdrowia, bo odczułby każdy wielkość szkody krajowi wyrządzonej oraz szkaradę zniewagi, wyrządzonej honorowi narodowemu i honorowi każdego Czecha. I tak w narodzie zdrowym dziać się powinno.“

Prof. Jordan apeluje w końcu do *pań i matron polskich,* aby dla sprzedawczyków zamykały *swe salony.*

„*Orędownik*“ uważa zapatrywanie prof. Jordana za zbyt *idealne*; naszem jednakże zdaniem przy wszystkich *praktycznych* pomysłach także idealnej strony w tej sprawie z oka spuszczać nie można.

„*Wielkopolanin*“ nawiązując do ukorzenia się młodych pp. *Urbanowskich z Turostowa* przed sądem opinii publicznej, zwraca uwagę na konieczność *lepszego wychowania młodszego pokolenia ziemian;* w końcu zaznacza:

„A trucizna rozkładu dalej żreć będzie duszę naszą, dalej drążyć będzie organizm, dopóki rodzina polska nie zajmie się wychowaniem młodszego pokolenia, dopóki nie nagnie przyszłych dziedziców ziemi do pracy, dopóki nie wpoi w nich przykładem, przedewszystkiem, że z ziemią nie tylko rozkosze związane, lecz praca i obowiązki.

„Jeżeli tak wychowamy młodsze pokolenie, nie będzie potrzeba aktów spóźnionej skruchy, i tak wychowane pokolenie odniesie zwycięstwo największe i najtrudniejsze — zwycięstwo nad samolubstwem i wszystkiemi grzechami z niego wypływającemi.

„Wtedy dopiero będzie można mówić o *odrodzeniu* i *wtedy dopiero dom polski stanie się opoką,* o którą bezsilnie rozbijać się będą fale zepsucia i zdrady, i wtedy dopiero dom polski skutecznie stawi czoło naporowi niemczyzny.“

Sprawą niedalekich już wyborów do sejmu pruskiego zajmuje się „*Dzien. Berliński*“. Wykazawszy w ilu to okręgach niemamy już nadziei zwycięstwa, kończy swe uwagi następującą skargą i zachętą do energicznej akcyi:

„Jeżeli ten system wyborów odbiera

w całem państwie pruskiem wszystkim ludziom jakokolwiek zależnym możność swobodnego głosowania na mężów swego wyboru, zapewniając przez to stronnictwom rządowym bezwzględną prawie większość, to o ile gorzej przedstawiać się muszą odnośne stosunki w *polskich* dzielnicach, gdzie *większa własność* ziemska w ręku polskim albo strasznie została przetrzebioną, albo prawie, że nie istnieje, gdzie lud polski zniewolony jest żyć i pracować pod obcym panem i gdzie *jawnie* mu skutkiem tego wolności obywatelskiej dokumentować nie wolno, gdzie junkrowie pruscy wraz z legionem urzędników wywierają na niego nie tylko w życiu powszedniem, ale przedewszystkiem przy wyborach najstraszniejszy przymus sumienia!

„A nie zanosi się wcale na to, żeby było lepiej, chyba przeciwnie. Trzeba *będzie z naszej strony wielkich wysiłków, żeby przynajmniej uratować w zbliżającej się walce wyborczej te mandaty, które dotąd były w polskim ręku.*"

„Gazeta Grudziądzka" roztrząsa kwestyą, czy Koło polskie przyjmie do swego grona posła *Kulerskiego* i do takiej dochodzi konkluzyi:

„Koło polskie jest za rozsądne, aby na taki lep poszło. Koło polskie z pewnością nie pójdzie za przykładem tych delegatów, którzy prywatę stawili ponad dobro ogółu, ponad zgodę zbawienną i zadowolenie wyborców. Przeciwnie, Koło polskie naprawi błąd delegatów przez jednogłośne przyjęcie pana Kulerskiego do Koła. Tem samem da ono nauczkę owym delegatom, że nie podług ich „widzimisię", lecz podług woli wyborców mianuje się kandydata na posła. To zaufanie mamy do Koła polskiego i obyśmy się w interesie ogólnej zgody nie mylili! Mowy o tem być nie może, aby przyjęcie p. Kulerskiego do Koła o tyle miało być niekorzystnem, iż mogłoby po przyjęciu częściej zdarzać się wyłamywanie wyborców z pod rozkazu władzy wyborczej. Mowy o tem nie może być dlatego, że władze wyborcze we wszystkich innych powiatach szanowały, szanują i szanować będą wolę wyborców. Pan Kulerski sam zresztą woli władzy wyborczej nie złamał, bo jak wspomniałem wyżej, w gazecie swojej ogłosił, że kandydatem jest p. Sikorski. Że sam przyjął poselstwo, tego mu nikt chyba za złe nie poczyta. Dobrze zrobił, gdyż przy ewentualnie powtórnych wyborach p. Sikorski z pewnością nie byłby przeszedł, tylko wróg nasz."

Uwagi te uważamy za trafne.

O systemie pruskim względem Polaków zamieścił bardzo dobry artykuł *„Lech"* pod tytułem „Prusy", który kończy się następującem przeświadczeniem:

„Musimy jednak być coś warci, kiedy ze stron tylu powstrzymuje się w naturalnym rozwoju naszą narodowość, kiedy najpotężniejsze militarne na świecie państwo tylu środków naznaczonych małodusznością i wsteczością używać przeciwko Polakom za odpowiednie uznaje, ba, nawet za konieczne uważa, to nadaje sprawie polskiej pierwszorzędnego znaczenia. *Dla tego samego bodaj chlubnie jest być Polakiem.*"

Sprawą ratowania ziemi ojczystej zajmuje się żywo także prasa *warszawska i galicyjska.* Między innemi zamieściła o niej obszerny artykuł wstępny krakowska *„Nowa Reforma"*, która także zwraca na to uwagę, że znacznie więcej możnaby uczynić u nas w tym kierunku, gdyby bogate magnackie *rody nasze* posiadały lepsze poczucie swych obowiązków względem narodu i ojczyzny. Dziennik ten oblicza, że same „rody" poznańskie, które dziś wieżą swe kapitały w bankach lub papierach *zagranicznych*, mogłyby do funduszów naszych banków i spółek parcelacyjnych dorzucić 15 do 20 milionów marek, poczem kończy swój artykuł następującą uwagą:

„Smutny ten objaw dostrzedz możemy nietylko w zaborze pruskim, ale i w dwóch innych zaborach. Wszędzie ruchliwszą akcyę ekonomiczną krępuje u nas brak większych kapitałów. Niewyczerpane źródła dorobku przemysłowego eksploatuje u nas kapitał obcy, my zaś skazani jesteśmy na okruchy, spadające z jego stołu. Lecz ci, którzy mogliby zaradzić brakowi temu, z małemi wyjątkami wiążą swe kapitały w obcych bankach, z lekkiem sercem trwonią je w obcych stolicach, w klubach hazardowych, a o potrzeby kraju nie troszczą się wcale. Czyż nigdy już w tych sferach nie odezwie się gorętsze poczucie narodowe i obywatelskie?"

W *„Gazecie Toruńskiej"* czcigodny ks. prob. *Liss* znów wytacza rozmaite grzechy „centrowców" z czasów jego pobytu w Westfalii. Dowiadujemy się np. z jego nowych rewelacyi że od tych kleryków polskich, którzy pobierali stypendya z tak zw. *Swiętojozefacia* tamtejsza władza duchowna żądała podpisania deklaracyi, że nigdy w zamian za to nie będą uprawiali... agitacyi wielkopolskiej. Dla tych zaś, którzy zawsze jeszcze popychają polskich wychodźców tamtejszych w objęcia centrowców, a twierdzą, że tylko zbytnia narodowa krewkość *naszych* jest przyczyną sporów tamtejszych z władzami duchownemi i Niemcami-katolikami, niech będzie nauką następujący ustęp z artykułu ks. Lissa:

„Kto winien tym zatargom w Westfalii? Odpowiadam: najwięcej *Niemcy katolicy centrowcy.* Boć proszę mi powiedzieć: Cóż to Niemców katolików obchodzi, że Polacy mają swoją gazetę „Wiarusa Polskiego", cóż obchodzi, że się z Niemkami żenić nie chcą, cóż obchodzi, że dzieci swe po polsku chcą wychować, cóż obchodzi, że Polacy po polsku chcą się spowiadać i kazań polskich słuchać. Czemu się Niemcy temu opierają i tego sobie nie życzą? Oto dla tego, jak p. Fussangel, ks. Arcybiskup Simar i tylu innych wyraźnie mi powiedziało, *że chcą Polaków zgermanizować.*

„Kto Niemcom katolikom dał to powołanie, nikt na świecie nie wie.

„W dawniejszej polemice z centrowcami wymieniłem pewnego księdza Niemca, który się po polsku nauczył i pracuje w dyecezyi kolońskiej. Czuł się tem dotknięty i pisał do mnie list prywatny ze skargą, że mu krzywdę uczyniłem. Odpisałem, że wszystko publicznie odwołam, skoro mi ksiądz da na piśmie oświadczenie, że ani w sercu nie pragnie zgermanizowania Polaków. Czekam naprożno do dziś dnia na oświadczenie i tego com napisał, odwołać nie mogę."

Red.

Głosy od Przyjaciół.

Z pod Janówca, 23 sierpnia.

Kochana „Praco!"

Pomimo nawalnych prac, nie mogę zamilczeć i oto dzielę się z Tobą kochana „Praco," pięknym czynem, jakim okryło się Koło śpiewaków w Janówcu. Janówiec, mieścina obsadzona naokół kolonistami, liczy zaledwie 2000 mieszkańców .Jak widziałem, mają także i swój „Kaufhaus", lecz i kilka pięknych majątków jeszcze w rękach polskich się znajduje. Że pomimo ucisku duch tam jeszcze żyje, okazało to Koło śpiewackie w Janówcu w niedzielę dnia 16-go t. m., zaprosiwszy na pierwszą zabawę latową Koła śpiewackie z Gniezna, Wągrówca i Żnina. Koło janowieckie jest młode, a choć 1900 roku założone ,obudzono je z letargu dopiero w kwietniu t. r.

Nowym prezesem jest kupiec pan Kłoniecki, który już różne usługi społeczeństwu wyświadczył, a i tutaj gruszek w popiele nie zaspał, tylko upiekł je tak, że każdemu smakować mogły. Znając go dobrze, znów podziwiać musiałem jego bystrość polityczną, która przechodzi granice. Mając w nowem Kole około 30 członków, urządza zjazd i dostaje pozwoleństwo na wymarsz ze sztandarami.

Po odbyciu próby generalnej dwóch pieśni wspólnych i po krótkiej pogadance, poczęto ustawiać się w szeregi do wymarszu. Zaśpiewano pieśń „Kto się w opiekę!" a potem przystąpiono do wymarszu. Najpierw szło Koło gnieźnieńskie, potem wągrowieckie, dalej żnińskie, a w końcu janowieckie. Główną komendę oddał pan Kłoniecki jednemu z Sokołów wągrowieckich. p. Helińskiemu.

Komenda zabrzmiała, muzyka zagrała i cały szereg około 120 śpiewaków ruszył z trzema chorągwiami i z lirą Koła janowieckiego na czele do lasku brudzyńskiego. Był to widok wspaniały, którego najstarsi obywatele Janówca nie pamiętają, a więc niejednego, choć padało, ów pochód do lasku pociągnął.

Na miejscu zabawy rozpoczęły się produkcye śpiewne poszczególnych Kół. Wszyscy śpiewacy wywiązali się znakomicie ze swego zadania.

O zmroku rozpoczęto tańce polonezem, w którym wzięło udział 105 par. O dziesiątej powrócono do miasta i rozpoczęto tańce na salce p. Walkowiaka, gdzie bawiono się ochoczo i harmonijnie.

Czytelnik „Pracy.“

Oborniki. 20 sierpnia.

Obce cenicie, swego nie znacie,
Sami nie wiecie co posiadacie!

Dotąd nie zdarzyło mi się wyczytać w „Pracy“ korespondencyi z opisem naszej okolicy, która jest jedną z najpiękniejszych w Księstwie, a pod zdrowotnem znaczeniem niechybnie najważniejsze zajmuje miejsce. Dla tego pozwalam sobie takową niniejszem opisać: Miasteczko same liczy blizko 4000 mieszkańców, ładnie zbudowane nad Wartą i Wełną. Związek tworzą trzy mosty t. j. jeden kolejowy, drugi prowincyonalny przez Wartę, trzeci przez Wełnę. Za miastem nad Wełną wznosi się gmach lazaretu powiatowego, ponieważ zaś stwierdzono, że tu w nizinie jest bardzo łagodne powietrze, przysyłają z Poznańskich zakładów około 20 rekonwalescentek na wypoczynek tu dotąd. O trzy kilometry od miasta położony jest w pięknym parku także nad Wełną stary zakład dla chorych nerwowo i umysłowo, prowadzony w drugiej generacyi przez dr. Karczewskiego.

Widocznie, że i rząd uznał tę okolicę za bardzo przydatną dla piersiowo chorych, gdyż zbudowano o kilometr za zakładem p. dr. Karczewskiego w boru także nad Wełną wielki zakład tymczasowo z trzema pawilonami dla 100 chorych. Miejsce to w nizinie jest wśród lasu ochronione od wiatru z wszystkich stron, a Wełna przy swym bystrym biegu i czystej wodzie w szerokości 12 do 20 metrów oczyszcza i zwilża jeszcze powietrze. Sanatoryum to nazwano „Kronprinz Wilhelm-Heilstätte,“ a do obsługi technicznej służą parowe maszyny z trzema kotłami do 10 metrów długości, wytwarzające także światło.

Desinfykcya bielizny, pranie posługują się także parą. Motor elektryczny doprowadza wodę źródlaną. Elewatory zaś oddalają nieczystość daleko na pola, gdzie hodowane będą witki dla koszykarstwa. Niedaleko w rożnowskim młynie, do którego należy wiele łąk, zakatraktowano dostawę mleka. *Mleko to jest pod kontrolą lekarza zakładowego.*

Mleka bardzo wiele zakład potrzebuje, chorzy też bardzo sutą i dobrą otrzymują strawę, nawet piwo, wino. Mleko zaś musi być z jednej stajni, a krowy odżywiane najlepszą paszą — nie burakami lub wywarem.

2 kilometry od Obornik leży piękna majętność Rutki, nad Wełną, własność rodaka Muszyskiego, na którą bym chciał zwrócić uwagę szczególnie panom lekarzom.

Leszczyna tworzy szpaler t. j. aleję nad Wełną, pod nogami łąka, częściowo mokra, park przy folwarku. Na pagórku kilka źródeł, jedne słonawe, drugie żelaziste. Otóż wszystkie dane do założenia wodolecznicy, którą nadzwyczaj tanio mieć moglibyśmy. Także miejsc na przyjemne letnie mieszkanie jest dużo. Potrzeba tylko *wspólnika,* któryby trochę dodał grosza, a się zastąpi niejeden „Bad“ między obcymi.

Swój.

Duszniki, dnia 23 sierpnia 1903.

Pierwsze wiadomości, jakiemi się dzielę z szanownymi Czytelnikami „Pracy,“ są smutne i to nawet bardzo.

Mamy w naszej wsi i w okolicy kolonistów, mamy sprzedawczyków, mamy i *Kriegerverein.* Czy jeszcze więcej potrzeba?

Ale najpierw co do kolonistów. Wieś naszą tworzą gospodarze, domena królewska i folwark, dziś rozparcelowany, między szewców, krawców, piekarzy i t. p. Brandenburczyków. Właściciel folwarku, p. Szulc, Niemiec, zamierzając sprzedać majątek, udał się do przew. ks. proboszcza z prośbą, aby tenże pośredniczył w sprzedaży. Ks. proboszcz udał się do Poznania. Bank polski wysłał jednego ze swych urzędników, w celu rozpatrzenia się i ułożenia ceny sprzedaży; tymczasem jednak dzierżawca domeny, Niemiec - katolik telegraficznie wezwał agenta kolonizacyi. Pan Szulc dostał naganę, że jako Niemiec śmiał mieć zamiar sprzedać swą majętność, nie — kolonizacyi. Tak więc, za łaską Niemca katolika, mamy we wsi „pionierów oświaty,“ którzy, nawiasem mówiąc, noszą się z myślą prędkiego opuszczenia polskiej wsi. „Przyjechaliśmy tu, mówią, po to, aby mieć pieniądze, nie zaś po to, aby ciężko pracować.“ Do roboty wychodzą o 10-tej a o 11-tej wracają z pola, przeklinając kolonizacyą i wschodnie kresy. Czy naszą wieś opuszczą — nie wiem — rząd chyba na to nie pozwoli. H. K. T. jednak rozszerza się; pan Niemiec katolik szerzy ją wytrwale. Zabronił po polsku mówić, nawet kląć po polsku na podwórzu nie wolno.

Smutniejsze jednak to, że mamy i cierpimy między sobą sprzedawczyka. Siedemdziesiąt mórg dobrej ziemi przeszło z rąk polskich w niemieckie, a przecie kupiłby je chętnie każdy z gospodarzy.

Lecz sołtys wolał kolonizacyi sprzedać, aby nie stracić względów pana komisarza i żandarma, jakiemi go ci urzędnicy dotychczas obdarzali.

Dotknięci czujemy się wszyscy tym jego postępkiem. Na nieszczęście są tacy, którzy z nim otwarcie przestawają; a przecież figuruje jego nazwisko już od czasu „Prawa majowego.“ Już wówczas okazał się wytrawnym i uniżonym dla rządu sołtysem. Mimo to, od tego czasu dzierżył nieprzerwanie prawie urząd wójtowski. Mam nadzieję, że przyszłe wybory, dadzą nam innego sołtysa, na uczciwych bowiem gospodarzach nam nie brak.

Mamy, jak wspomniałem, *Kriegerverein,* ale mamy i polsko-katolickie Towarzystwo robotnicze. Prezesem jest przew. ks. proboszcz, stary wiarus, który po Bożemu i po polsku myśli i pracuje. Z jego inicyatywy powstało wyżej wspomniane Towarzystwo, dalej Kasa oszczędności, Czytelnia ludowa, Kółko rolnicze, którego jest gorliwym i rozumnym przewodnikiem; on to wezwał i zachęcił nas do składek na powodzian. Jedno tylko można Towarzystwu zarzucić t. j., że w skład jego wchodzą członkowie, którzy należą i do *Kriegervereinu.* Może i oni kiedyś opuszczą *Kriegerverein,* dziś jednak tego uczynić nie chcą. Na razie wstrzymuję się od wymienienia ich nazwisk, mając nadzieję, że się poprawią.

Zasyłam serdeczne pozdrowienie kochanej „Pracy“ i szanownym Czytelnikom.

Wojciech Brzoza.

— Manuskryptów niezwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego ich odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.

Redakcya i wydawnictwo „PRACY.“



Na przednówku dziewczę cierp,
Dobrze rąk podkasaj!
Kiedy się już sprawił sierp
Hochaj, śpiewaj, hasaj!

Ubierz się w kwiateczki
Och! kochanie moje,
Pójdziem do mateczki
Ma luba, we dwoje!

Matuś ślub wziąść każe
Ucieszy się Kaśka,
Spowiedź grzeszki zmaże,
Moją będzie Baśka! —ski.

Dział illustrowany.

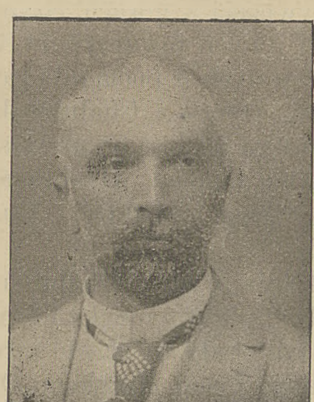
Album posłów polskich w parlamencie niemieckim.

VIII.

Poseł dr. Witołd Skarzyński.

Jest on jedną z najwybitniejszych indywidualności, jakiemi Księstwo poszczycić się może. Fachowy, znany ekonomista, człowiek o jasnym, prostym programie politycznym.

Należał on już raz do Koła, posłując od roku 1881—1884. Jednakże za duszno i za ciasno było mu wtedy w szeregach ugodowych parlamentariuszy, dlatego ponownego mandatu nie przyjął i trzymał się zdala od życia politycznego, aż go teraz demokratyczne żywioły powołały do pracy.



Poseł dr. Witołd Skarzyński.

Jest to jeden z największych zysków ostatnich wyborów, że mąż tej miary i tak wielkiego rozumu przyjął udział w pracy Koła.

W czasie od roku 1884 wystąpił raz tylko wobec społeczeństwa, wydając znaną broszurę p. t. „Nasza sprawa.“ — Odezwała się ona głośnem echem w całej Polsce. — Najlepiej charakteryzuje przekonanie jego polityczny ustęp broszury, w którym omawia politykę ugodową. — Mówi on:

„Jak baby umiemy tylko, albo krytykliwie protestować, albo płaczliwe żale wywodzić; albo rzucać się do ócz i do nóg i w ramiona tych, których przed chwilą za wrogów uważaliśmy. Od opozycyi quand-meme do byzantyńskiego lojalizmu przechodzimy od razu pod wpływem chwilowego wrażenia, z którego w tej chwili wysnuwamy niebotyczne nadzieje! Od nienawiści do miłości, od skeptycyzmu do wiary, od podejrzliwości do wielkiego zaufania niejako jednym susem, jak hysteryczne kobiety przeskakujemy. A zarazem, jak one, tyle jesteśmy naiwni, by przypuszczać, że wszystkie te nasze zwroty i obroty przeciwnicy nasi, którzy z zimną krwią na skórze naszej operują, na seryo brać mogą i powinni, tak jak my sami je za genialne strategiczne i faktyczne manewra sobie poczytujemy!

Ztąd popadamy zawsze z jednego ekstremu w drugi. I tak z tromtadratycznej opozycyi quandmeme, naszpikowanej deklamatorskiemi protestami, walnemi wnioskami, traktatomanią — pod wrażeniem dymisyi księcia Bismarcka — na całej linii przeszliśmy do lojalizmu pruskiego a outrance (skrajnego); staliśmy się naraz „plus Prussiens, que le roi de Prusse!“ (większymi Prusakami, niż sam król pruski.“

Dr. Witołd Skarżyński urodził się w Spławiu w powiecie Śmigielskim dnia 17-go października 1850. Po ukończeniu gimnazyum w Poznaniu poświęcił się studyom ekonomicznym w Bonn i w Berlinie. Później kształcił się w agronomii; w końcu objął majątek rodzinny. — Jest członkiem wydziału prowincyonalnego i powiatowego.

* * *

IX.

Poseł Bernard Chrzanowski.

Może najwięcej popularna osobistość z parlamentaryuszy naszych. Rozgłos zjednały mu nietylko ostatnie występy jego parlamentarne, — zasłużył nań także jako druh - prezes związków sokolskich i jako inicyator odczytów popularnych im. Adama Mickiewicza. — Podajemy kilka dat z życia jego. Urodził się w Wojnowicach, w powiecie grodziskim dnia 27 lipca 1861 r. Po ukończeniu gimnazyum Maryi Magdaleny słuchał prawa w Krakowie i w Berlinie, później osiadł jako adwokat w Poznaniu.

Wybrany został po raz pierwszy po śmierci posła Stanisława Mottego w r. 1900 i reprezentuje dotąd Poznań. Pierwszy wybór jego zażegnał zrywającą



Poseł Bernard Chrzanowski.

się burzę wyborczą, gdyż był to jedyny człowiek, na którego obie walczące partye zgodzić się mogły.

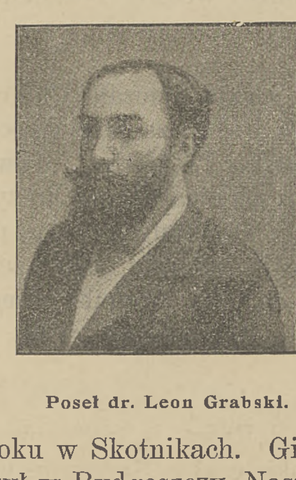
Nie potrzebujemy bliżej charakteryzować programu jego politycznego. Świeżo mamy w pamięci występy jego parlamentarne; żaden Polak przed nim nie przemawiał w tym tonie. Ztąd zaliczyć go wypada do najskrajniejszej lewicy Koła. —

* * *

X.

Poseł dr. Leon Grabski.

Należy on do nowych posłów w „Kole“. Urodził się dnia 1 lipca



Poseł dr. Leon Grabski.

1853 roku w Skotnikach. Gimnazyum ukończył w Bydgoszczy. Następnie poświęcił się kupiectwu i po studyach teoretycznych odbytych w szkole han-

dlowej w Antwerpii, kształcił się praktycznie w Londynie, Warszawie i Królewcu. W r. 1882 należał do założycieli cukrowni w Gnieźnie, którą do dzisiaj kieruje. — Należy do rady miejskiej, do wydziału powiatowego i do Bydgoskiej izby handlowej. — W polityce zdaje się hołdować umiarkowanym zasadom. (C. d. n.)

Król Tatr.

Zakopane obchodziło świeżo uroczystość niezwykłą. Tam, pod Giewontem, w pobliżu niebotycznych turni, wstał 15-go sierpnia dzień wyjątkowy, dzień promienny złożenia czci człowiekowi, którego za życia słusznie nazwano „Królem Tatr'', dzień złożenia hołdu pamięci dra Tytusa Chałubińskiego.

Lat 15 dobiegnie niebawem, jak na cichym, poetycznym cmentarzu zakopiańskim, pod granitowym kamieniem spoczęły zwłoki tego miłośnika przyrody górskiej. Czas był największy, aby ten miłośnik gór i górali, który na Tatry zwrócił uwagę powszechną i pociągnął nas ku nim — otrzymał znak widomy wdzięcznej pamięci społeczeństwa za to właśnie ukochanie przedziwnego w naturze piękna. I stało się dobrze, że odtąd każdy wielbiciel gór, każdy gość, bawiący w Zakopanem, zażywając wytchnienia, wpośród szumiących tajemniczo smereków, będzie miał przed oczyma tę poważną, szlachetną głowę męża, który był wcieleniem mędrca-artysty. U stóp jego zasiadł ze skrzypcami swemi w ręku Sabała, jako uosobienie poezji zakopiańskiej, tak serdecznie przezeń umiłowanej.

Pomnik, którego wizerunek podajemy poniżej według rysunku S. Witkiewicza, wyrzeźbił prof. Nalborczyk.

Ta poezja otaczała Chałubińskiego za życia i idzie za jego wspomnieniem nieodłączna i blizka. Towarzyszyła mu ona na niedostępne szczyty i śpiewała mu najcudniejsze tam pieśni.

Poezja ozłacała jego życie i sprawiała, że do Chałubińskiego lgnęli wszyscy, że podbijał sobie serca ludzkie.

Na świat przyszedł we wsi Chociwiu pod Rawą, w 1820 roku. Gimnazjum skończył w Radomiu; słuchał medycyny w Wilnie, potem w Dorpacie; stopień doktora otrzymał w Würzburgu, dokąd przeniósł się z powodu słabości zdrowia w r. 1844. Zdobywszy wiedzę fachową, osiadł jako lekarz w Warszawie, i tu przez lat z górą czterdzieści pracował z zapałem i poświęceniem bez granic. Przez lat dziesięć (1847—1857) był naczelnym lekarzem szpitala ewangelickiego i instytucję tę podniósł na wysoki stopień rozwoju. Następnie był lekarzem ordynującym w szpitalu Dzieciątka Jezus, w 1859 r. został powołany na profesora patologji i terapji, a zarazem na dyrektora kliniki terapeutycznej w ówczesnej Akademji medyko-chirurgicznej w Warszawie. Katedrę tę piastował również w Szkole Głównej i uniwersytecie warszawskim do 1871 r.



Pomnik dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem

Prof. Chałubiński wykładał płynnie, jasno i przystępnie. Miał talent krasomówczy i porywał każdą prelekcją, będącą zbiorem pierwszorzędnych wiadomości naukowych. Słuchacze z wykładów jego odnosili ogromną korzyść, pochłaniali też każde słowo swego mistrza.

Jako lekarz-praktyk miał jasnowidzenie choroby. Najzawilsze jej objawy rozpoznawał ze zdumiewającą trafnością, a najcięższy stan umiał zażegnać i usunąć.

Wzywano go na konsylia po 30 razy dziennie, — zawsze prawie z pomyślnym wynikiem. Popularność więc i sława Chałubińskiego rosły szybko i zataczały szerokie dokoła kręgi.

Niezamożnych chorych, oraz chorych księży, lekarzy, studentów, artystów i ich rodziny leczył bezinteresownie. Obok rady niósł często wsparcie materjalne, gdy tego zachodziła potrzeba. Zjednał też sobie, oprócz popularności i sławy, miłość i szacunek, wywierał wpływ na tłumy, i dość było jego jednego słowa, aby uspokoić najbardziej wzburzone uczucia.

Było to wielkie, obywatelskie serce, był to człowiek prawdziwy i lekarz genjalny.

Był to także poeta i artysta, który potrafił ocenić należycie i ukochać wszystko, co szlachetne i piękne.

Zmęczony pracą i trudami swego zawodu, odpoczynku zaczął szukać w górach. Nie uciekał jednak na błękitne Alp szczyty'', ale dążył wózkiem z Krakowa do Zakopanego, gromadził koło siebie drużynę górali, kapelę tworzył i pędził na hale tatrzańskie, na przepaściste turnie Garłucha i Łomnicy, zdobywając je, jak zamki warowne.

Z Chałubińskim biegli na szczyty tatrzańskie i ulubiony jego powiernik i przewodnik, Wojtek Roj, wraz z synem swoim Józkiem, gęślarz Sabała z pierwszym skrzypkiem kapeli, Bartkiem Obrochtą, Wojtek Ślimak, szafarz żywności w górach, Szymek Tatar i wielu innych towarzyszów wycieczek długotrwałych a pociągających. Szczęśliwi ci, którzy z Chałubińskim szukali wrażeń gdzieś „na niebios progu!'' Do takich należą: artysta-malarz Walery Eljasz i historyk Karol Potkański.

Istotnie, wraz z Chałubińskim szły w Tatry: pieśń, muzyka i taniec. Pieśni te odzywały się echem zarówno pod Zawratem i nad Morskiem Okiem, jak i przy Czeskim Stawie i Szczyrbskiem jeziorze. Chałubiński i jego nieodstępni towarzysze rozbijali namioty, niecili watrę i tańczyli dokoła niej, według wyrażenia dra Eljasza Radzikowskiego — po zbójnicku; chadzali tak oni lata całe, roztaczając na okoliczne krainy, w które się spuszczali ze szczytów, na Spiż, Orawę i Liptów, między Słowaki i Węgry, sławę odwagi polskiej, wytrzymałości na trudy, myśl wesołą, swobodną, przyjaźń ku ludziom....

Nad doliną za Mnichem, w pobliżu Morskiego Oka, znajduje się przełęcz, nazwana „Wrotami Chałubińskiego''. Przez te wrota, jak przez bramę średniowiecznego zamczyska, prowadzi nas Chałubiński w głąb Tatr, odsłaniając wspaniałe ich piękno i grozę.

Nietylko zwiedzał Tatry i zachwycał się niemi: on badał je i odsłaniał ich wszechstronne bogactwa. Kiedy miał lat 67, zwracano mu uwagę na

zmęczenie, jakiego doznaje podczas uciążliwych wycieczek. Uwag tych nie przyjmował mówiąc:

— Dobrzy jesteście z memi latami! Sabała ma 77 i jest prawie ślepy, a chodzi lepiej odemnie. Te góry życie mi dają...

W parę lat później posmutniał. Widząc to, przyjaciel Chałubińskiego, Józef Kenig, zapytał go o przyczynę.

— Mój Józefie, już mnie do ziemi bardzo ciągnie.

Gdy zaś Kenig ofuknął się na to, nadmienił:

— Nie! nie ! znamy się lat czterdzieści, wiesz, że się nigdy nie pieściłem... Ale teraz ciągnie mnie ku ziemi, sam to widzę, jako lekarz; zresztą już mnie w góry nie ciągnie, a to znaczy: koniec.

Tak był przywiązany do dolin i szczytów tatrzańskich, tak je kochał bezbrzeżnie, iż bez nich żyć nie mógł.

W pośród skał i złomów olbrzymich czuł się dopiero szczęśliwym. Tęsknił do pustyni tatrzańskiej, do tej „skalnej świątyni“. A przykład jego wywierał magiczny wpływ na innych, na całe młode pokolenie, które oczarowała natura górska. Dzięki Chałubińskiemu, Zakopane stało się dla nas tem, czem jest dzisiaj; dzięki Chałubińskiemu w literaturze naszej zjawiła się poezya opiewająca urok gór, zjawił się szereg pisarzów i artystów, którzy natchnienie swe tu czerpią lub rozwijają.

I gdyby podczas uroczystości odsłonięcia pomnika dr. Chałubińskiego w Zakopanem, stanął na mównicy ks. Trynkowski, znakomity kaznodzieja z pierwszej połowy XIX. w., niewątpliwie powtórzyłby te same słowa, jakie w 1838 roku wygłosił w Wilnie nad tumną Jędrzeja Śniadeckiego:

„Oto człowiek!“

* * *

Przebieg uroczystości był następujący:

Tłumy publiczności jako też ludu góralskiego wcześnie obległy placyk, gdzie za zdobną kratą żelazną przykryty brunatną zasłoną pomnik Tytusa Chałubińskiego czekał odsłonienia..

Chwila to upragniona od lat przez całe społeczeństwo polskie, wdzięczne temu umysłowi za zdjęcie swego czasu zasłony nieświadomości i uprzedzeń z Zakopanego i całego tego uroczego zakątka ziemi naszej, który dziś stał się źródłem zdrowia i punktem wyjścia dla odrodzenia swoistego stylu i sztuki polskiej stosowanej.

Oto stanął wreszcie pomnik, zapoczątkowany przez Towarzystwo przyjaciół Zakopanego, ofiarą składek publicznych za cenę 14,000 koron na placyku między ulicami Chałubińskiego i Zamoyskiego.

Pięknie odbijają na tle zieleni smereków owe złomy skalne, o które oparty siedzi uwieczniony przez Sienkiewicza Sabała z gęśliczkami w jednej ręce a drugą wskazując w tę dal gór ukochanych, dokąd spogląda z granitowego słupa popiersie Chałubińskiego. Pod niem na płycie mosiężnej, kształtu zapinki góralskiej, widnieje napis: „Chałubiński 1820—1889.“

Materyałów do pomnika i pracy dostarczyli sami swoi.

Na mównicy o godz. 12 i pół odezwał się p. Chmielowski w im. komitetu z pochwałą zasług Chałubińskiego dla Zakopanego.

Opadła zasłona z pomnika, który dużo wymowniej sam przemówił za siebie, bo oto publiczność wybucha oklaskami, orkiestra góralska pieśnią, a delegacye składają wieńce u stóp pomnika.

Wieńce te pochodzą od Akademii Umiejętności, od Towarzystwa tatrzańskiego, od Towarzystwa muzycznego, od straży ochotniczej, od rękodzielników, od Tow. zaliczkowego zakopiańskiego itd.

Wymowne słowa padają z ust prof. Baranowskiego, który dużo umiał opowiedzieć o Chałubińskim, jako dawny jego towarzysz i kolega.

Po nim przemawiali: prof. Tretiak w imieniu Akademii Umiejętności, dr. Teodor Dunin w im. warsz. Tow. lekarskiego, dr. Jordan w im. Towarzystwa krakowskiego, prof. Ponikło w im. Tow tatrzańskiego, poeta Jan Kasprowicz — a wszyscy z wyrazami hołdu i czci dla Chałubińskiego.

Była już godz. 2 po południu, a jeszcze tłumy zalegały placyk przed pomnikiem.

K. W.

Dwór Maryi Konopnickiej.

Nie był to wcale słomiany zapał, gdy w jesieni r. z. naród cały zjednoczył się dla złożenia hołdu Maryi Konopnickiej. Zrozumiało społeczeństwo nasze, że twórcza praca poezyi jest dźwignią potężną, że nietylko duchy wiedzie ona pod swym znakiem, lecz także czyny budzi, pracę krzepi i cel jej jasno wskazuje. A z czyich piersi zerwie się pieśń życiodajna, z czyjej lutni pobiegnie w naród — temu należy się wdzięczność, jako hetmanowi duchowemu, wiodącemu hufce ku zwycięztwu i jako wielkiemu siewcy, który zagonom daje żyzność.

Zrozumiawszy zaś to, nie poprzestano na przemijającym hołdzie, jednym z najpiękniejszych, jakie widzieliśmy u nas. Społeczeństwo umocowało swych przedstawicieli do obmyślenia trwalszego dowodu wdzięczności, który nieustannie przypominałby poetce, że praca jej życia nie poszła na marne, że rozkrzewiona w sercach i umysłach słowem natchnionem, myślą ożywczą — okala ją zewsząd i ciągle.

W głównych ogniskach polskich — we Lwowie, Krakowie, Poznaniu i Warszawie zawiązały się w tym celu osobne komitety. Początek dała Czytelnia kobiet we Lwowie w marcu 1902. Z jej to inicyatywy zawiązał się w kwietniu tegoż roku komitet lwowski, poparty radą i czynem Elizy Orzeszkowej, a następnie i inne komitety. Zadanie ich było nietylko wdzięczne, lecz także łatwe. Miały one bowiem jedynie zorganizować to, co niejako samo dopraszało się ujęcia w pewne konkretne kształty i w jednolitą akcyę. Ze wszystkich dzielnic Polski zniesiono umiłowanej jubilatce dary i upominki — ze wszystkich też dzielnic zabrzmiało domaganie się, by poza tem dar narodowy w wielkim stylu uwieńczył wspaniałą manifestacyę.

Pierwszym krokiem w tym celu było popularne wydanie wyboru pism Konopnickiej, dokonane przez Komitet krakowski, z którym połączył się w jedno ciało poznański, jako pozbawiony swobody działania. Osiągnięto przez nie cel podwójny: z jednej bowiem strony umożliwiono nawet niezamożnym nabycie tych znakomitych płodów poezyi ojczystej, z drugiej zaś strony uzyskano, mimo niskiej ceny wydawnictwa dochód wcale znaczny, który zasilił fundusze Komitetu krakowskiego.

Komitet lwowski, a właściwie wybrana z jego łona komisya ściślejsza, w skład której weszli: panie Wekslerowa, Anna Lewicka, Poznańska i Dulębianka, jako też pp. Czapelski, Fryling i dr. Moszyński, powzięła myśl zakupienia na dar narodowy kawałka ziemi i sadyby, gdzie poetka mogłaby spokojnie dalej snuć przędzę swych myśli i uczuć. Jakoż przy pomocy pp. Biechońskich z Żarnowca i za życzliwem pośrednictwem Banku parcelacyjnego, nabyto nadającą się wybornie do tego celu posiadłość w Żarnowcu, oddalonym o $3^1/_2$ klm. od stacyi kolejowej Jedlicze (pomiędzy Krosnem i Jasłem).

W prześlicznej okolicy, wśród cienistego parku o obszarze 5 morgów,

wznosi się typowy dwór polski, obliczony nietyle na efekt, ile na wygodę. Obecnie odnawiają go, aby w zupełnie prawidłowym stanie dostał się nowej posiadaczce.

Dwór mieści w sobie 7 ubikacyi, wystarcza więc na wygodne pomieszczenie. Poetka, bawiąca chwilowo u wód w Holandyi, obejmuje go w posiadanie z końcem b. m. Oddanie nastąpi w formie uroczystej przy udziale przedstawicieli komitetu, świata literackiego i artystycznego i t. p. Komitety zdadzą przy tej sposobności sprawę z wysokości darów uzbieranych i ze sposobu ich użycia i wręczą obok upominków dar honorowy, uzbierany przez grono wielbicieli w Królestwie Polskiem, a wynoszący 20.000 koron.

W dworze Żarnowieckim znajdą w osobnej salce pomieszczenie owe liczne dary, którymi przy sposobności godów jubileuszowych stowarzyszenia, instytucye i osoby prywatne obsypały Konopnicką. Pomyślano o tem, by także w innych pokojach poetka nie zastała pustki. Do komitetu nadchodzą z różnych kół zgłoszenia ofiar, które aż nazbyt obficie zapełnią całą przestrzeń dworu Żarnowieckiego.

Między innemi ofiarował komitet włościański skrzynię bronowicką z koralami i strojem ludowym, Górnoślązacy wspaniałą stalugę, Towarzystwo polsko-amerykańskie przez ręce posła Stapińskiego złote pióro, Polacy ukraińscy przepiękne album itd. itd.

Bardzo piękną myśl powzięły wychowanki lwowskich pensyonatów z inicyatywy zakładu p. Wiktoryi Niedziałkowskiej. Własnemi robotami zamyślają one przyozdobić i zaopatrzyć w różne potrzebne przedmioty schronisko poetki. Przeszlą więc ręczne hafty, ekrany, nakrycia itp., aby skrzętną tą,mrówczą pracą zbliżyć się niejako ku uwielbianej poetce.

Każdy z pokoi będzie miał odrębne urządzenie. Do jednego sporządził p. Szafrański we Lwowie meble w stylu zakopiańskim. W tym samym stylu przyozdobiona zostanie pracownia. W innym znów pokoju dostrojone będzie wszystko do stylu bronowickiego. Pięknie i oryginalnie przedstawiać się będzie także salon, przybrany mnóstwem kilimków ukraińskich.

Sprzęty odchodzą już partyami do Żarnowca. Dary napływają ciągle obfitą strugą.

Dzięki owym ofiarom dwór żarnowiecki przemieni się w gniazdko nietylko wygodne, lecz nawet piękne — w gniazdko, gdzie z każdego szczegółu wyzierać będzie ku poetce miłość, którą posiadła u całego narodu.

Na zakończenie wspomnieć należy jeszcze o chlubnym czynie Banku parcelacyjnego, który na cześć poetki skolonizował Mazurami jedną z osad w pobliżu Lwowa i nadał jej nazwę Konopnicy. W uzupełnieniu pięknej myśli odstąpił wspomniany Bank bezinteresownie grunt pod budowę szkoły ludowej, która dzięki ofiarności architektów p. Śliwińskiego, autora projektu i p. Janowskiego, kierownika budowy, wkrótce stanie pod dachem, jako szkoła imienia T. T. Jeża. Szkoła ta i cała osada niewątpliwie bliską będzie sercu poetki, co tak głęboko odczuła dolę ludu i tak serdecznie ją wyśpiewała.

Lwów, w sierpniu 1903.

Komitet jubileuszowy Maryi Konopnickiej.

† Lord Salisbury.

W Londynie umarł dnia 22-go b. m. wielki angielski mąż stanu, lord Salisbury, przeżywszy 73 lata. Wiadomość



† Lord Salisbury.

o śmierci Salisbury'ego przyjął król Edward z wielkiem ubolewaniem i przesłał rodzinie wyrazy żalu z powodu zgonu męża, który tak wielkie usługi oddał Anglii za panowania królowej Wiktoryi.

Robert Artur Talbot Gascogne-Cecil margrabia Salisbury urodził się dnia 3-go lutego 1830 roku. W r. 1857 wybrany został do izby niższej, a po śmierci ojca przeszedł do izby wyższej i występował gwałtownie przeciw gabinetowi liberalnemu Gladstone'a. Od lipca 1866 do 1867 był w gabinecie Derby ministrem do spraw indyjskich. Był on zapamiętałym konserwatystą i posiadał wyższe zdolności, potrzebne dla męża stanu. Uniwersytet oksfordzki mianował go 1870 swym kanclerzem, został znowu 1874 ministrem do spraw indyjskich, a w 1876 był przedstawicielem angielskim na konferencyach konstantynopolitańskich. Nim udał się do Konstantynopola, zwiedził Paryż, Berlin, Wiedeń i Rzym dla wybadania opinii tamecznych rządów, podczas konferencyi okazywał uległość żądaniom Ignatjewa, a gdy Turcya nie zgodziła się na żądania mocarstw, Salisbury opuścił Konstantynopol w styczniu 1877 r. Po ustąpieniu lorda Derbego 1878 zamienił wydział swój w gabinecie na tekę spraw zagranicznych i gorliwie popierał politykę wschodnią Disraelego. Natychmiast po objęciu swego urzędu wydał okólnik do przedstawicieli angielskich, że Wielka Brytania w tym tylko razie weźmie udział w kongresie, jeżeli Rosya złoży cały traktat San - Stefanoski. Układami z Szuwałowem udało mu się skłonić Rosyę do ustępstw i według jego instrukcyi Layard zawarł konwencyę z Turcyą o ustąpienie Cypru. Na kongresie berlińskim z Disraelim reprezentował Anglię, a po powrocie otrzymał order Podwiązki i honorowe obywatelstwo city londyńskiej. W latach 1885—86 i 1886—92 był prezesem gabinetu i piastował tekę ministra spraw zagranicznych. W 1892 ustąpił miejsca Gladstone'owi i objął przewodnictwo opozycyi w parlamencie. W 1895 po ustąpieniu Rosebery'ego objął znowu przewodnictwo ministeryum i tekę spraw zagranicznych. W 1900 zrzekł się urzędu spraw zagranicznych, ale pozostał prezesem gabinetu i objął godność strażnika tajnej pieczęci.

—ski.

Pokój i wojna.

Był maj;
Kwitnęły wonne łąki, zielenił się gaj,
Powietrze napełniała balsamiczna woń,
Wietrzyk muskał łagodnie wód przeźroczą toń;
Zwinne rybki pluskały po krysztale wód,
Skrzętne pszczółki zbierały z kwiatów słodki miód;
Ptaszęta gniazda wiły śród gałęzi drzew,
Po dąbrowach ich wdzięczny rozlegał się śpiew;
Bociany zataczając po nad gniazdem krąg,
Radośnie klekotały powracając z łąk;

Skowronek wzbił się w górę, w nadpowietrzny szlak,
Bogu chwałę swym śpiewem głosił miły ptak,
Przy pracy w polu, wszędzie brzmiał wesoły śpiew,
Czyli rolnik szedł z pługiem, czyli rzucał siew;
A po świątyniach pienia wznosił wiejski lud:
Panno Święta! błogosław naszej pracy trud.
I był na ziemi pokój, uświęcony majem;
Człowiek zdał się aniołem być, a ziemia — rajem.

. . . .

Deszcz był;
Po spusztoszałych polach wiatr ponuro wył,
A ziemia od jesiennych przesiąknięta słot
Czerniła się połyskiem grzązkich, ciemnych błot,
Powietrze napełniała ciał cuchnących woń,
Tu i owdzie gnijący leżał zdechły koń,
Lub z odzienia odarty siny ludzki trup;
Ze zgliszczy siół spalonych, dymu ciemny słup,
Po nad błotnistą ziemią kłębami się wił,
Nad trupem swego pana pies żałośnie wył,
A z góry chmurą spadał czarny ptactwa rój,
O ciała zakrwawione tocząc z sobą bój.
U krzyża, na ramieniu kołysał się trup,
Przez kruki obłężony — ohydny ich łup,
I krzyż leżał zwalony u rozstajnych dróg,
Bo tędy szedł burzyciel — straszny wojny bóg,
Co niszcząc mieczem, ogniem, z zaciętością wściekłą,
Zmienił ludzi w szatany, a ziemię raj — w piekło.

Józef z nad Drwęcy.

Z chwili.

Zakończył się wreszcie w Paryżu proces o sławne oszustwo Humbertów i sprawiedliwości stało się zadość. Ława przysięgłych uznała oskarżonych winnymi, a sąd na mocy werdyktu przysięgłych skazał: Teresę i Fryderyka Humberta na 5 lat więzienia karnego i 100 franków grzywny, Emila Daurignaca na 2, a Romana na 3 lata więzienia zwyczajnego.

Oskarżeni do ostatka wypierali się zarzuconych im występków, mianowicie „wielka Teresa'', ta wyrafinowana oszustka zamydlała sądowi oczy stekiem kłamstw i opowiadaniem historyjek różnych, zmyślonych. „Miliony się zjawią i t. d.'' powtarzała z zadziwiającą pewnością Humbertowa przynajmniej 10 razy dziennie, poczem wachlując się, z uśmiechem rozmawiała to z Fryderykiem, to z Laborim. Bardziej rozpromienionego wyrazu twarzy nie widział nikt u niej ani na wyścigach, ani w teatrze za jej najlepszych czasów, jak na ławie oskarżonych! To jej zachowanie się, to ciągłe usilne wmawianie we wszystkich, że miliony będą, że w ostatniej chwili wyjawi swą tajemnicę, oddziaływały jak narkotyk na publiczność i na sędziów. Nadzieja, że stanie się coś, tajemna myśl, że: „chociaż to jednak,'' sprawiało, że na sali rozpraw, mimo przewlekłości, mimo małoznaczących zeznań świadków, było zawsze pełno i że wśród audytoryum zauważyć można było najwybitniejszych ludzi Francyi.



Teresa Humbert.

Gdy już ostatni świadek, komisarz policyi France, złożył swoje zeznania, zabrała głos Teresa:

„Siódmego maja wyjechałam do Bordeaux nie wyjawiając przyczyny tej podróży mojej rodzinie. Chciałam w Bordeaux na peronie kolejowym spotkać pewną osobę, a następnie wysłać telegram do Paryża z żądaniem przysłania mi pieniędzy, gdyż papiery wartościowe tam zostawiłam. Następnie chciałam wrócić do Paryża, ale Fryderyka i Romana chciałam w Bordeaux zostawić.

„Na stacyi jednak w Bordeaux dowiedziałam się, że osoba, na którą czekałam, wyjechała do Madrytu, gdzie nie zastałam pieniędzy, gdyż osoba, która je miała wręczyć mojej gospodyni Parayre, nie wypełniła mego zlecenia z obawy, by pieniądze te nie zostały skonfiskowane przez rząd. Jeśli osoba ta (mówiąc przybiera wielka Teresa groźną postawę) nie przyniesie miljonów, to wyjawię wszystko.''

Po mało znaczących wyjaśnieniach prefekta policyi Lepina i Fryderyka, powstała Teresa i wolno, poważnie oświadczyła:

„W domu naszym przy rewizyi znaleziono trzewiki, które nosiłam jako siedmioletnie dziecko; znaleziono również białą sukienkę, gdyż do siódmego roku życia zawsze biało chodziłam ubrana. Matka mówiła mi, że będę bardzo bogata. Matka umarła, wtedy zabrałam całe rodzeństwo do sąsiedniego pokoju i powiedziałam im, że będę się niemi opiekowała i że będziemy bogaci. Poznałam następnie Fryderyka, pokochaliśmy się. Ojciec mój miał zawsze pieniądze, które czasami chował do doniczek z kwiatami.

Przewodniczący. To wszystko nam jednak nie mówi, czy pani miała testament Crawfordów!

Zamiast odpowiedzi opowiadała Teresa, że pewnego wieczora nadszedł kufer, w którym znajdowało się 36 milionów. Waldeck-Rousseau nie kazał jej aresztować, gdyż nie chciał skompromitować pewnej osobistości; i on jest pewny, że miliony nadejdą. „Ja jestem ofiarą. Nikt jednak nic przeciwko mnie powiedzieć nie może, gdyż sumienie mam czyste'' — temi słowy zakończyła Teresa swoje zeznania.

Przewodniczący. Może teraz po ukończeniu postępowania dowodowego zechce pani powiedzieć gdzie są miliony!

Teresa. „Wszyscy chcą, bym została zasądzoną. Rząd i minister sprawiedliwości Valle dążą do tego usilnie, ale ława przysięgłych nie skaże mnie ani na jeden dzień więzienia.''

Przewodniczący. Przecież pani powiedziała, że po przesłuchaniu świadków wyjawi pani swą tajemnicę. Świadkowie już są przesłuchani!

Teresa. Powiedziałam, że po przemówieniu prokuratora powiem, i to jeśli miliony się nie zjawią, a na to mam jeszcze przeszło 24 godzin. Sprzedano moje łóżko, ja chcę napowrót moje łóżko otrzymać! Tak jest, powstała walka na śmierć i życie między mną a ministrem sprawiedliwości Valeem. Sędziowie przysięgli spojrzyjcie na me oblicze. Spokój na niem malujący się dowodzi, że nic złego uczynić nie mogłam!

Na tej apostrofie do sędziów przysięgłych zakończyły się rozprawy sądowe.

W dniu następnym po przesłuchaniu dodatkowego świadka bankiera Bernharda, Teresa chciała wygłosić długą apostrofę do ławy przysięgłych. Mowę tę jednak przerwał przewodniczący, oddając głos generalnemu prokuratorowi, który w ostry bardzo sposób nazywając sprawę Humbertów

„największem oszustwem stulecia“ piętnuje Teresę Humbert mianem oszustki. Zeznania świadków zdaniem jego dowodnie stwierdzają całą bezczelność postępowania Teresy, która w toku rozpraw dla obałamucenia ławy przysięgłych dopuszczała się wszelkich wybiegów, aby uchylić się od kategorycznej odpowiedzi na stanowiące istotę całej sprawy pytanie: Gdzie są Crawfordowie? i gdzie są miliony? Dlatego też żąda kategorycznie surowego ukarania winnych w imieniu tej sprawiedliwości, na której od lat szeregów cała potęga Francyi jest oparta.

Żądaniu prokuratora stało się zadość. *—ski.*

Podania o rozbójnikach
t. zw. raubritterach.

Żyjące w pamięci ludów pomorskich podania o rozbójnikach, należy podzielić na dwa rodzaje, mianowicie, na podania o rozbójnikach morskich i lądowych. Z ostatnimi wiążą się przeważnie wspomnienia o okrutnych niemieckich *raubritterach*, dlatego podania o lądowych rozbójnikach o tyle tylko uważać można za słowiańskie, że lud przed wiekami, kiedy *raubrittery* napadali, rozbijali i łupieżyli ludzi, mając punkt oparcia dla swoich rozbojów: w nieprzystępnych miejscach zbudowane zamki warowne, będąc jeszcze słowiańskim w swój sposób tworzył o nich podania, z których tu i owdzie przebłyskują krwawe krzywdy wyrządzane temu ludowi. Bohaterami tych podań są sami Niemcy, chociaż nawet tu i owdzie posiada nazwisko brzmienie dozwalające przypuszczać słowiańskie pochodzenie. Tłomaczy się to atoli tem, że niemiecki *raubritter* przybierał często nazwisko od miejscowości, w której się usadowił, ponieważ miejscowości na Pomorzu do dziś dnia zachowały po większej części brzmienia słowiańskie, więc nie dziw, że w takim razie i niemiecki *raubritter* ma nazwę brzmiącą po słowiańsku. Najzawołańsi jednak rozbójnicy pomorscy, których pamięć przechowała się dotychczas w podaniach ludowych mają czysto niemieckie nazwiska jako to: Bullenkuter, Taubenhenn, Münz, Schwarz i inni.

Słowiańskie natomiast są podania o morskich rozbójnikach utrzymujące się szczególnie pomiędzy ludem na wyspie Rujnie, Uznojmie i Wolinie. Są one otoczone romantyzmem ludowym podobnie jak ludowe podania o tatrzańskich zbójnikach. Ci morscy rozbójnicy są bohaterami ludowymi, którzy nigdy ubogich nie krzywdzą, lecz owszem są ich dobrodziejami. Biorą złym i bogatym a dają dobrym i biednym. Mszczą oni też krzywdy ludu na wrogach. Takim ludowym bohaterem jest słynny rozbójnik morski Sterczybok przezwany przez Niemców Störtebeker i jego towarzysz Gadek (w niemieckiem przekręceniu Gödeke), których pamięć żyje w wielu podaniach rajmuńskich. Na półwyspie Iasmoda mianowicie przy nadbrzeżnej skale kredowej koło Stopania znajduje się duży kamień, pod którym kryje się podziemna jaskinia Sterczyboka strzeżona przez czarną zaklętą dziewicę strzegącą jego skarbów. Nocami wychodzi dziewica z podziemia na kamień i pierze krwią zbroczone chusty. Czasem nadpływa łodziami Sterczybok z swoimi towarzyszami. Jest ich kilkaset a ubrani są w stroje staroświeckie, każdy zaś z nich niesie swą głowę pod pachą.

Osobny rodzaj tworzą podania *o mnichach rozbójnikach.* Bohaterami ich są także Niemcy, gdyż klasztory w całej północno- zachodniej Słowiańszczyźnie były prawie wyłącznie zaludnione cudzoziemcami. Podania te są zupełnie tak samo jak o rozbójnikach lądowych o tyle tylko słowiańskie, że przechowywały się one w prawieku ludu słowiańskiego, który je upstrzył w znacznej części swojemi pojęciami i wytworem swojej wyobraźni. Ponieważ atoli przy podaniach główną rzeczą jest sposób przedstawienia i zabarwienia, przeto bez względu na to, że główne ich osoby zarówno w podaniach o rozbójnikach lądowych, jako też o mnichach rozbójnikach są Niemcy, są tak samo jak wszystkie inne podania pomorskie istotnie własnością duchowo pomorsko-lechickiego ludu, które przy likwidacyi narodowej Pomorza wraz z ziemią i wszystkiem co się na niej znajdowało, przywłaszczyli sobie Niemcy.

* * *

Mnichy rozbójnicze w Szczecinie.

W grodzie Szczecinie znajdował się ongi przy dzisiejszej ulicy królewskiej klasztor męzki, a obok mieszkał piekarz, którego dom pokazują obecnie jeszcze. Ten miał bardzo ładną córkę, w której zakochał się był jeden pan możny. Ponieważ wiedział on, że piękna córka piekarza nosi codziennie do krat klasztoru chleb, udał się do mnichów, ofiarując im dużo pieniędzy, jeśli oni przywabią dziewczynę do klasztoru i mu ją oddadzą. Zrobili oni też to. Jak tylko przyszła do krat użyli chytrości, zwabili ją do klasztoru, potem pojmali i osadzili w podziemnem więzieniu. Rodzice nic więcej o niej nie słyszeli, jak gdyby zaginęła odtąd zupełnie. Mnichy trudnili się porywaniem ludzi. Schwytali oni także pewnego chłopca, więżąc go także w podziemnem sklepieniu. To jednak graniczyło z tem, gdzie trzymali dziewczynę, tak że chłopiec słyszał przez ścianę jej rozpaczliwe krzyki. Chłopcu udało się uciec z klasztoru, a gdy przyszedł do grodu opowiadał gdzie znajduje się dziewczyna, o której sądzono powszechnie, że zginęła. Jak sąd przedsięwziął poszukiwania w klasztorze, znaleziono też w podziemiach więzioną przez zakonników dziewczynę. Oswobodzono ją a klasztor, który był istotną jaskinią rozbójniczą, zniesiono zupełnie.

Temme 116.

* * *

Rozbójnicy na Wolinie.

Między Warnowem a Jordanowem (Jordanshütte), leży góra zwana po niemiecku *Mordkuhlenberg*, gdzie w dawnych czasach przebywali rozbójnicy. Byli oni postrachem całej okolicy. Zabijali oni tyle ludzi, iż co wieczora jeździło dwóch z nich z taczką do jeziora Warnowskiego, by tam wypierać z krwi spodnie towarzyszów zbójeckich. Nikt już nie mógł bezpiecznie podróżować w okolicy, gdyż draby przeciągnęli powrozek przez drogę, lekko piaskiem przysypany, który szedł aż do ich jaskini na górze i tam był do dzwonka przymocowany. Jeśli wędrowiec nie przeczuwający nic złego przestąpił ten powrozek, to zaraz zadzwoniło w jaskini, hołota zbójecka wyleciała gromadą na niego i zabiła go.

Tym sposobem rozbójnicy byli raz pojmali jedną dziewczynę idącą do Jordanowa. Ponieważ była ona młoda i ładna, darowano jej życie, lecz wprzódy musiała ona złożyć uroczystą przysięgę, że kryjówki ich niezdradzi żadnemu człowiekowi.

W jaskini musiała sprawować rozmaite rzeczy; najgłówniejszą jej robotą było pranie spodeń rozbójników z krwi w jeziorze Warnowskiem i noszenie na targ do Wolina kiełbas robionych z mięsa ludzkiego. Tam raz spotkała się z swoim dawniejszym narzeczonym a choć gorąco pragnęła wyznać mu wszystko, bała się łamać przysięgi. Gdy parobek wciąż pytał i pytał, kazała mu położyć się pod mostem, przez który wiodła droga z miasta. Parobek zrobił tak a dziewczyna, kiedy stanęła na moście, padła na kolana tam przed kamieniem i opowiadała mu, żaląc się, wszystkie swe cierpienia.

Narzeczony słyszał każde jej słówko, następnie poszedł i doniósł władzy.

Wysłano duży oddział wojska przeciw rozbójnikom. Wojacy oswobodzili dziewczynę a rozbójników wystrzelali co do nogi. Dziewczyna wyszła potem za mąż za człowieka, który tak samo jak ona był złapany i trzymany przez rozbójników. Skarby rozbójników są do dziś ukryte w górze.

Jahn 525.

G. Smolski.

SZARŻA.

Wódz zmierzył pole bitwy rzucił rozkaz krótki.
Ordynans go powtórzył; w cwał go poniósł drugi,
Aż do szeregów jazdy. Zagrzmiały pobudki.
Wykwitły z pochew szable, jak ogniste smugi.
Jak łan kłosów przed wichrem zatrzęsły się lance;
Szczęknęło jakieś strzemię; gdzieś znów koń się wspina.
Marsz —marsz! I, kędy leżą nieprzyjaciół szańce
Pułk runął jak huragan, a brzmiał jak lawina.

* * *

Drżała ziemia. Pył złotej podniósł się kurzawy...
A na szarżę wódz patrzał, a nad wodzem słońce
Staczało się ogromne. I wszystkich lanc końce
Brały od jego łuny jakiś połysk krwawy —
Że rzekłbyś, każdy rycerz na końcu oręża
Nie śmierć, lecz ogień z nieba, niósł do mrocznych wałów.
Z wałów warczały kule, a każdy z wystrzałów
Gasił lancę, jak świecę, a z nią życie męża.

* * *

I coraz mniej promieni. Na zoraną ziemię
Trup pada w krwawym pocie, jak rataj po orce.
Reszta pędzi, jak chmura w której piorun drzemie.
Łan czerwieni krew jazdy, chmurę — jej proporce.

* * *

— Ta jazda, tak do sztabu mówi wódz spokojny,
Nie zna, co to są dźwięki odwrotnych sygnałów.
Wniesie słońce na lancach do tych mrocznych wałów;
Albo padnie przy słońcu w imię dobrej wojny.
Wobec zwycięstwa jutra — dziś klęska nie boli!
Patrzcie! wszak i to słońce, zda się w przepaść płynie,
Kona, zgaśnie za chwilę, a jednak nie zginie:
Jutro wzejdzie w zdwojonej światła aureoli!

G. Daniłowski.

Czachowski i obóz jego.

Opowiadanie żołnierza z 1863 r.

Niezawodnie był Czachowski jednym z najdzielniejszych i najwięcej energii posiadającym wodzem. Nie zważając na swój wiek (miał bowiem lat 65) i sterane zdrowie, na pierwszy odgłos strzałów pochwycił za oręż. W pierwszym zaraz początku był w oddziale Langiewicza, gdy tenże w lasach Sto-Krzyzkich oddział swój formował. Przeszedłszy z nim razem w Krakowskie, gdzie po rozbiciu oddziału Kurowskiego pod Miechowem, partyzantka upadkiem groziła, został mianowany majorem i otrzymał dowództwo 2-go batalionu. Nader sprężysty i niezmordowany, wymustrował i wyćwiczył swych ludzi w krótkim czasie, a prowadząc z bitwy do bitwy, zrobił z nich nieustraszonych żołnierzy i z nimi to przybył po upadku Langiewicza w Sandomierskie. —

Potrzeba ludzi zmusiła Czachowskiego zbliżyć się do granicy i żądać posiłków. Ludzie byli, broni także nie brakowało, i cóż było przyczyną, że Łopacki dopiero 8-go kwietnia przez Wisłę się przeprawił?

Już 16-go marca byliśmy gotowi do wychodu. Dano nam naczelnika w osobie majora B., który oddział do Czachowskiego doprowadzić miał, lecz inaczej zrządziła Opatrzność. Już następnego dnia major B. wypadłszy z bryczki zwichnął rękę, wskutek czego przeszło trzy tygodnie przeleżał. Oglądano się więc za innym dowódzcą i dano nam nawet rozkaz do wychodu, ale intrygi porobione przez jednego z oficerów, który wszelkiemi siłami dowództwo otrzymać chciał, zniszczyły cały plan. Obrażony nowoprzybyły wódz W. usunął się zupełnie, a my znowu zostaliśmy niewiedząc co czynić, czy czekać czy wracać do domu. Wielu też chwyciło się ostatniego, tem bardziej, że nadchodziły święta Wielkanocne, które każdy by rad był w kółku rodzinnem przepędzić. Nadeszły i święta, a ze świętami doczekaliśmy się i dowódzcy.

Zjadłszy każdy święcone gdzie był, zaczęliśmy się przygotowywać do wychodu; dopiero teraz dały się czuć różne drobne potrzeby. Każdy kupował igły, nici, fajki i inne drobiazgi, w obozie niezbędnie potrzebne.

Nadeszła nareszcie tak długo oczekiwana chwila wymarszu. Wieczorem około godziny 9-tej zebrało się 250 ludzi w lasku nad samą Wisłą; tam przywieziono broń, amunicyę, obuwie a nawet blaszane menażki, których żaden pierwej wychodzący oddział nie dostał.

Rozdawanie broni i amunicyi ciągnęło się ze cztery godzin, a dopiero około 3-ciej rano przybył przyszły nasz naczelnik. Był to mężczyzna mniej niż nizkiego wzrostu, twarzy przyjemnej, obrośniętej blond zarostem. Mógł liczyć lat 30. Ubior jego stanowiła burka z kapiszonem, sięgająca po kostki; rogatywka czerwona i grube juchtowe buty, na spodnie wyciągnięte; pałasz przy boku, nadawał mu postać prawdziwie męzką. Był to Łopacki. Służył on przedtem pod Kurowskim, i był jednym, który zupełnie chciał zarzucić plan zdobywania Miechowa, w zasługę czego wyniesiony na stopień majora, dostał dowództwo oddziału.

Gdy ludzie już w szeregach stanęli, wystąpił naprzód i w kilku słowach wytłomaczył nam powód, dla któregośmy się tu zebrali, i napominając, żebyśmy byli posłusznymi i dobrymi żołnierzami, uścisnął każdemu rękę, opatrzył potem broń i kazał ją nabić. Obliczywszy nas, pokazało się, że ze spodziewanych 2000 zaledwie 250 i to nie wszystkich zdolnych pozostało; kilku malców, broń im odebrawszy, do domu poodsyłał, resztę zaś podzielił na dwie kompanie strzelców po 80 ludzi, na kompanję kosynierów z 27 ludzi, i pluton jazdy 30 ludzi.

Zaledwie się z tem ułatwił, gdy prom sprowadzony aż o 5 mil przybił do brzegu i wziąwszy kompanję, przewiózł ją na tamtą stronę. Było to już około 5-tej godziny rano. Przybiwszy do brzegu, powyskakiwaliśmy z promu i podzieleni przez przydanego nam kapitana Markowskiego, byłego oficera garibaldowskiego, później pułkownika Bosaka, rozsypaliśmy się, by przetrząść nadbrzeżne krzaki. Nie znalazłszy jednak nic podejrzanego, usiedliśmy nad brzegiem Wisły, patrząc może po raz ostatni na błogosławioną Galileję. Wkrótce przeprawiła się i reszta oddziału.

Koło południa ruszono z miejsca, a zgromadzeni z tej strony Wisły obywa-

tele i obywatelki żegnali nas, powiewając długo białemi chustkami.

Zaczęło się nowe życie, każdy z nas był żołnierzem i każdy miał się za bohatera; zapał ogarnął młodych żołnierzy — oddział ten bowiem składał się po największej części ze studentów i młodzieży inteligentnej.

Po jednogodzinnym marszu przybyliśmy do Połańca, miasteczka nad Wisłą położonego, gdzie schodząc z góry do miasta, kilku spostrzegło jednego objeszczyka; wszystko ruszyło za nim, kawalerya naprzód a piechota za nią na wyścigi; objeszczyk kopnął się przez pola i pomimo naszej liczby umknął. Łopacki zaczął nam przedstawiać że to nie zabawki, że powinnością naszą jego słuchać, a nie podług swego widzimisię robić. Gdy nas zburczał potężnie, kazał dwójki formować zakomenderowawszy: „baczność — krok zwyczajny — marsz!“ stanął na przodzie i wprowadził oddział do miasta. Tutaj zostawił nas na rynku, kazał broń w kozły postawić i rozejść się po mieście, wprzód widety rozstawiwszy. Niedługo przynieśli nam mieszczanie jeść i rozdawszy resztki z pozostałych ciast, zaczęli z nami rozmowy.

Niedługo atoli zostaliśmy w Połańcu, bo zaledwie Łopacki z adjutantem obiad zjadł, kazał kapitanom swoje kompanie formować i z miasta ruszać. Powiększył się teraz nasz oddział o kilku ludzi miastowych. Przybyło kilka wozów żywnością wyładowanych i tak zaopatrzeni na dzień następny, wyszliśmy z miasta, dziękując mieszczanom za ich gościnne i szczere przyjęcie.

Oddział maszerował przez pola nie spodziewając się, że Moskale mogą być w pobliżu, lecz wkrótce przekonaliśmy się o ich bliskości; albowiem na wzgórzu, ciągnącem się od Połańca ku Osiekowi, ujrzano niedługo pikiety kozackie. Gdy Łopacki to zobaczył, wprowadził nas spiesznie w las, niedaleko Połańca leżący, i tam na brzegu tegóż zrobiwszy dwa szeregi, czekał, spodziewając się, że Moskale nadciągną z Osieka i będą nas atakować; tą razą jednak omyliło go przeczucie; skończyło się bowiem tylko na tem, że kozacy pokazawszy się kilka razy na wzgórzu znikli bez śladu a my wystawszy się ze dwie godzin, ruszyliśmy lasem dalej. Tak maszerowano bez przeszkody do ciemnej nocy. Łopacki kazał spocząć, a sam pojechał z kilkoma oficerami szukać dalszej drogi, gdyż w nocy idąc zgubiliśmy ją. Jak długo ten spoczynek trwał, nie mogę powiedzieć, bo przyznam się, że będąc zmęczonym zasnąłem smacznie. To tylko wiem, że gdym się obudził, ogromny strach mnie ogarnął, nikogom koło siebie nie zobaczył. Różne myśli przychodziły mi do głowy. Chciałem wracać do Połańca, ale jak tu znaleść drogi, kiedy ciemno, że o trzy kroki nic nie można rozróżnić. Nie namyślając się więc długo postanowiłem iść przed siebie, gdzie zajdę to zajdę. Myślałem że jak się dzień zrobi, to może albo oddział znajdę, a jeżeli nie, to wstąpię do pierwszej lepszej wsi, a wziąwszy przewodnika wrócę do Galicyi. Lecz nie przyszło do tego, gdyż idąc chwilę, usłyszałem jakiś przytłumiony gwar, a potem zobaczyłem ogień nie wielki. Podszedłem więc tam i zastałem oddział, gotów już do dalszego pochodu. Przyłączyłem się i tak dzięki Najwyższemu wylazłem z tego nader krytycznego położenia. W godzinę później dostaliśmy się do leśniczego; dowódzca rozlokował nas po części w kuchni a po części w stodołach. Tam zostaliśmy ze dwie godzin, gdy nagle padł strzał, ogromny ruch się wszczął, kawalerya siadała na koń, 1-sza kompania piechoty łańcuch formując tyralierski, posuwała się naprzód, za nią w rezerwie szła 2ga kompania i kosyniery, a po bokach maszerowała kawalerya. Marsz był utrudniony. Była to bowiem droga przez pola, a ziemia deszczem i śniegiem, który bezustannie bił, zwilżona lgnęła do butów. Tak przeszliśmy koło Staszowa, gdzie 2 roty piechoty konsystowało; nie miał Łopacki ochoty ich zaczepiać, a ponieważ i oni z miasta nie wychodzili, więc najspokojniej koło miasta przemaszerowaliśmy.

Nie będę tu opisywał dalszych marszów; mógłbym tem znudzić czytelnika, a zresztą zadaniem mojem jest przytoczyć fakta główne, nie wdając się w żadne rozprawy tak strategiczne jako też i polityczne. Przytoczę tylko, że po 3 dniowym marszu stanęliśmy w Słupi nowej. Miasto to porządnie zabudowane leży u stóp góry, z której kościół Ś. Krzyża swe ramiona nad niem wyciąga; chciałbym był zwiedzić kościół ten, ale nadto krótki czas, który tam bawiłem, nie pozwalał na to. Tam złożyliśmy przysięgę przed naszym kapelanem i zanuciwszy marsza, wyszliśmy odprowadzeni przez mieszkańców miasta. Następnego dnia złączył się oddział nasz w Brodach z Grylińskim , który tam trzy tygodnie obozował z oddziałem, składającym się ze 150 ludzi, nader źle uzbrojonych.

Obozowaliśmy razem z nimi a żywność, którą mieli w zapasie i dla nas wystarczyła. Wspomnę tu jeszcze, że w oddziale Grylińskiego były dwie białogłowy; jedna z nich nie chcąc męża odstąpić, służyła z nim razem w kompanii strzelców, druga zaś woziła się na bryczce. Była to wielka zawada. Osobną bryczkę musiano trzymać dla wożenia indywiduum w obozie zupełnie niepotrzebnego. Było to nierozsądnie, ale *errare humanum est.*

Złączeni z Grylińskim, mogliśmy śmiało czoło trzem rotom Moskali stawić. We dwa dni przybyliśmy pod miasto Iłżę. Dziesięć wiorstw od tegoż rozkwaterował nas Łopacki we wiosce, której nazwisko zapomniałem. Wioska ta liczyła zaledwo 25 zagród; wypadało więc blisko 15 żołnierzy na jednego gospodarza. Obiad tam zjadłszy, zaczęliśmy mustrę. Niezmordowany Markowski obznajmił nas z robieniem bronią, uczył formowania łańcucha tyraljerskiego i byłby dalej ćwiczenia te prowadził, gdyby nie nagły rozkaz Łopackiego, żeby żołnierze natychmiast z kwater pozabierali swoje bagaże i do wychodu gotowi w szyku stanęli. Zdziwił nas ten rozkaz niemało, tem bardziej, że zapowiedział nam był Łopacki, iż pobyt w tej wsi ze dwa dni potrwa, a tu po kilkugodzinnym wypoczynku już dalej iść kazano. Stanęliśmy szeregami z jednej strony drogi, gdy miejsce z drugiej strony oddział Grylińskiego zajął, tak że szpaler się utworzył. Po upływie dziesięciu minut usłyszeliśmy śpiew, a po drugich dziesięciu minutach ukazały się z po za płotów białe rogatywki, nareszcie kosy a w końcu kawalerya. Radość malowała się na twarzach naszych żołnierzy: jeden i drugi miał nadzieję zobaczyć dawnego znajomego, a cóż milszego jak w obozie stary przyjaciel? Niebawem wstąpił w szpaler przez nas utworzony wódz przybyłego oddziału, wzrostu średniego, nader silnie zbudowany, twarzy ogorzałej, w której dobroć ale energia razem się przebijała; broda siwa spadała na kożuch węgierski, wstęgą czerwonobiałą przepasany; rewolwer za pasem a pałasz przy boku tworzyły dziwną harmonię tak z wyrazem twarzy, jak też i z ubiorem przybyłego. Był to nasz dzielny Czachowski, wtenczas już pułkownik. Prowadzony przez Łopackiego i Grylińskiego, okiem pełnem radości spoglądał na nas. Oglądał naszą broń i niemało się zadziwił, przekonawszy się, że wszyscy w sztucery z bagnetami uzbrojeni byliśmy. Za nim nadciągnął i oddział jego: nie był wprawdzie źle uzbrojonym, ale zawsze nie tak jak my.

Przeglądnąwszy tak nasz oddział jako też i Grylińskiego, siadł na koń i kazał swym ludziom iść w awangardzie a ustawienie arjergardy zdał Łopackiemu, który natychmiast kompanją na tył wysłał.

Złączeni teraz w trzy oddziały, liczyliśmy 780 ludzi. Czachowski bo-

wiem miał 400 żołnierza. Była to więc spora garstka, silna ilością ludzi lecz silniejsza duchem: każdy pojedyńczy żołnierz drżał z radości, gdy szef sztabu, później dowódzca oddziału w Lubelskiem, Eminowicz oznajmił, że następnego dnia może batiuszków spotkamy.

W nocy nie przerywając marszu spoczynkami, doprowadził Czachowski złączone oddziały do miasteczka Grabowca; tam przywołał burmistrza i kazał ludzi rozkwaterować po domach. Noc przeszła najspokojniej. Moskale, których co chwila się spodziewano, nie alarmowali nas. Każden więc miał dość czasu przespać się i wypocząć po ośmiogodzinnym bezustannym marszu.

Nazajutrz, zaledwie świtać zaczęło powstali żołnierze; jedni w nadziei zobaczenia piękności miastowych, (niech się moje piękne czytelniczki wcale tem nie obrażają, gdyż jest to wadą młodych żołnierzy, że sam wyraz ten „panna" dziwne jakieś uczucie w nich wywołuje) drudzy zaś powychodzili wczas, by u którego z mieszczan sera, masła lub kiełbas kupić. Dzień ten był dniem niespokoju. Czachowski chciał objąć dowództwo nad wszystkimi trzema oddziałami, czemu Łopacki zupełnie się poddał, o czem zaś Gryliński nawet słyszeć nie chciał, i już żądał nawet dymisji od Czachowskiego, nie chcąc być pod jego komendą.

Wieść ta gruchnęła między ludźmi Grylińskiego, a z ust do ust idąc, dostała się i do nas. I tutaj wywołała niechęć. Trudnem zdawało się nam kogo innego mieć naczelnikiem jak Łopackiego, tak bowiem przywiązali się ludzie do niego, że w piekło by byli poszli, byle go nieopuścić, czego pod Stefankowem 23-go kwietnia dali dowód.

Przytoczę tu na pochwałę Łopackiego, że był nietylko dobrym wodzem, ale przytem ojcem i przyjacielem ludzi. Nigdy nie robił różnicy między oficerem a szeregowcem, wszystkich uważał zarówno, a zdaniem jego było: „każdy z nas jest oficerem". — Otóż żal było nam takiego dowódzcy tem bardziej, że ludzie złej woli, których i tam nie brakowało, różne wieści nie najpochlebniej o Czachowskim mówiące, rozsiewali, i tym sposobem ziarno niezgody między nas rzucić chcieli; lecz dzięki Najwyższemu minęła ta burza, nie pociągając złych skutków za sobą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dwie łzy.

(Wspomnienie z 1863 r.)

I.

Salonik w przepych bogaty,
Jak galanteryi wystawa:
Ambra woniała i kwiaty,
I lampa świeciła mdława.

Z markotnie główką zwieszoną
Śliczniuchne dziewczę siedziało,
Na jasne włosów kędziory
Cień cudny światło rzucało.

— Ach mamo! krawca nie widać,
A wieczór zwolna już mija...
Pewno się taniec rozpoczął
I para z parą uwija!...

— Godzina ósma wybiła,
Już późno moja ty mała! —
— Ach mamo... to być nie może...
Noc całą jabym nie spała! —

I główkę smutno zwiesiła,
I białą różę pomięła,
Czekając okno wybiła,
Aż na twarz łezka spłynęła....

II.

Dworeczek biały, drewniany,
Zieloną pleśnią porastał,
Chyliły w ziemię się ściany,
Nad dachem dąb się rozrastał.

Z zwieszoną główką w tęsknicy
Bladziutkie dziewczę siedziało,
Coś z cicha sobie nuciło,
I nucąc szarpie skubało.

Na dworze wicher grudniowy
Uderzał w słabe okienka,
Babunia pacierz szeptała,
Trzymając w ręce krosienka.

— Powróci z bojów?... powróci? —
Szeptała z cicha dziewczyna,
Złożyła drobne rączęta,
Paciórek mówić zaczyna.

I główkę smutno zwiesiła,
I białe szarpie pomięła,
I wianek z mirtu uwiła,
A na twarz łezka spłynęła...

Henryk Mierzyński.

Z wirchów...*)

Stanęliśmy na szczycie jednego z najdumniejszych olbrzymów Szumawy.

*) W oryginale obrazek powyższy pióra jednego z najznakomitszych spółczesnych pisarzy czeskich, drukowany w noworoczniku „Sokoła", nosi tytuł „Wieczór na Szumawie."

Dzień szybko się chylił ku wieczorowi, nam jednak nie było pilno. Nie leżała przed nami daleka droga: postanowiliśmy przenocować pod otwartem niebem, otuleni w pledy, czuwając kolejno u jasnej watry. Byliśmy wówczas w wieku, który się lubuje w przygodach romantycznych, nie posiadających już uroku w latach późniejszych.

Spoczęliśmy na głazach, które wieńczyły szczyt góry.

Dookola roztaczał się rozległy, w nieskończoność, zda się, biegnący widok.

Powietrze, jak to bywa w górach jeno, podczas letnich wieczorów, jasne było, kryształowe, i jak wino upajające.

Nagle przejrzyste jego fale zmącił drapieżny ptak — orzeł. Na wyżyny dążył, wzbijając się w górę szybkim, jak błyskawica, ruchem skrzydeł.

Po chwili dalej nieco zakołysał się inny ptak. Leciał wolniej, zatrzymując się, ale dla własnej jeno przyjemności i z własnej woli... Przeszkoda żadna nie krępowała jego lotu.

Ciemność, zgęszczająca się nad ziemią z leśnych oparów, zasłoniła pierwszemu ptakowi drogę, ale przebił się przez nią, igrając. Drugiemu znowu wiatr zadał w skrzydła; wytężyć musiał z całej siły czarne wiosła, aby przemódz niespodziany prąd, w którym się znalazł... a jednak — kilka potężnych uderzeń — i oto już płynie znowu, lekko i swobodnie, ku swemu celowi...

Śledziliśmy lot onych ptaków, już to nurzających się i niknących w niedościgłem dla oka oddaleniu, już wracających ku nam w rozradowaniu i potędze swej wolności.

Słońce gasło. Zapadał mrok. Wtem z głębokiego parowu leśnego, za którym rozścielała się nasza święta ziemia ojczysta, wzbił się jeszcze jeden, spóźniony ptak. Mocny był i dumny. Leciał, zataczając szerokie kręgi. Śmiało płynął mrocznem powietrzem.

A jednak lot sokoła różnił się od lotu tamtych ptaków — ciężki był, nienaturalny, naprężony.

— Jakożby mogło być inaczej? — zauważył stary góral, który przyłączył się do naszego towarzystwa i znał tu widocznie każdy kamień i każde stworzenie. — Tamci byli po wszystkie czasy dziećmi wolności, a ten dźwigał okowy, nosił pęta...

— Leci, jak gdyby miał skrzydło złamane...

— O nie! — zaprzeczył góral. — Z długiej niewoli wzbił się w przestworza zdrów i silny. Ale dotąd jeszcze dźwiga u skrzydeł część łańcucha, który go przykuwał.

Ptak krążył dalej w około. Ale ciężar ogromny strącał go w dół, ku nizi-

nom, przyciągał ku ziemi, przeszkadzał w swobodnym rozmachu skrzydeł.

— Co się z nim stanie, — z tym ptakiem?

Stary góral wzruszył milcząco ramionami, tak niemal zahartowanymi i zbrązowiałymi od górskich wiatrów, jak otaczające skały.

— Czy będzie wlec dalej marny żywot i nie zazna już nigdy pełni szczęścia?

— Niewola! Oh, przekleństwo na nią! — wybuchnęła chórem młodzież.

— A może osłabnie z wysiłku, a wówczas skrępują go ciaśniejszemi więzy?

— Może zginie...

Góral nie odpowiadał, uporczywie milcząc.

— A gdyby kto zestrzelił łańcuch, nie uszkodziwszy ptaka! — wyrwał się ochoczy, radosny głos z pośród nas.

— Czemuż by nie? — odparł starzec. — Ale i Tellowie — jako wielcy ludzie w ogóle — przychodzą na świat raz na sto, na tysiąc lat. I tam, pod Szwycem, tysiące najznakomitszych, najlepszemi chęciami ożywionych strzelców dosięgłoby strzałą nietylko jabłka, lecz i czoła dziecka...

Umilkł; głęboka cisza zapanowała dookoła. Zamarł nawet szum lasów, poważnie i smętnie kładnących się do snu z nadejściem nocy.

Sokół krążył nad nami ciężkim, znużonym lotem.

— Zgubiony!... Biedny ptak!...

— Zgubiony? — zawołał góral, zrywając się nagle, a siwa jego głowa, pełna charakteru i siły w każdym rysie, jak natura, wśród której żył, podobna była do głowy natchnionego barda lub proroka, którego Bóg zachował ze sławnej przeszłości i postawił tu, na granicy ojczyzny, jako jej strażnika i obrońcę.

— Zgubiony? — powtórzył drgającym głosem. — Byłby nim, zaiste, gdyby spuścił głowę, zwiesił skrzydła i skrył się tchórzliwie a bezsilnie w ciemnej jakiej kryjówce. Ale on się nie poddał! On się nie upokorzył! On toczy bój dalej i dalej walczy o życie na przekór wrogiemu losowi, który go prześladował i prześladuje! A z każdem nowem niebezpieczeństwem skupia i wytęża siły coraz bardziej, aż w końcu...

— Zwycięży! Sławnie zwycięży! — zawołała młodzież z zapałem.

Kraj, ku któremu zwracały się, biegnąc na wschód, nasze spojrzenia, — czeski kraj, spoczywał w milczeniu i ciemnościach głębokiej nocy.

A nad nim, nad tym krajem czeskim, unosił się sokół, krążąc i wzbijając w górę — jak rzucone przyszłości pytanie, które niewidzialna ręka kreśliła na tle nocy...

Na tle nocy, z której milczenia i mroku wykwita cudownie zorza, jasność, dzień...

Fr. Heritcs.

Przełożyła za upoważnieniem Autora *M. Wysłouchowa.*

Kochał... Maryę.

. . . . Gdy sami jesteśmy przyczyną naszego cierpienia, wtedy cierpimy podwójnie, ponieważ przygniata nas swym ciężarem rozpaczliwa świadomość własnej winy. — Tak też było i ze mną. Cierpiałem strasznie, pod czaszką czułem piekący żar, jakiś dziwny ostry ból wił mi się koło serca, po członkach szedł dreszcz mroźny, a przedemną na biurku leżał mój zaręczynowy pierścionek i jak na urąganie błyszczał barw tęczowych tysiącem.

„Więc to naprawdę wszystko pomiędzy nami zerwane“ myślałem — a przecież ja ją tak kochałem i kocham tę moją słodką dzieweczkę całą potęgą prawdziwej miłości, a teraz nie przyjdzie mi już nigdy upomnieć się o nią.

I rozgorączkowana wyobraźnia stawia mi przed oczy przebyte z nią ,niczem nie zamącone chwile czystego, idealnego upojenia.

„Za jedną chwilę szału płacić całą przyszłością — to straszne!“ — Porwał mię taki żal — i taka wściekłość, że bliski byłem obłędu.....

W tej chwili zapukał ktoś do drzwi i zanim zdążyłem odpowiedzieć wszedł mój przyjaciel Edmund R.

Dziwną sprzeczność stanowiliśmy z nim — on poważny, zamknięty w sobie, do przesady posuwał pojęcia honoru... ba nawet konwenansu i obowiązków, a ja nerwowy, wrażliwy, niestały. Siłą kontrastu i dziwnej jakiejś sympatyi poprzyjaźniliśmy się na ławie szkolnej i przyjaźń ta trwała do dziś dnia. Przyjaciel mój nigdy mi nie mówił o swoich dla mnie uczuciach, ale wiedziałem, że na nim jednym polegać mogę. Dziwnym zrządzeniem losu miałem go zawsze przy sobie, gdy mię spotkał jaki zawód, cierpienie, lub choroba, więc i teraz, widząc go, nie zdziwiłem się wcale; pospieszyłem tylko w jego objęcia. Czułem, że wielkiej doznam ulgi, dzieląc z nim ból i cierpienie....

Edmund wziął mię za rękę, posadził wprost siebie i ze słodyczą mu właściwą mówił: — Wiem prawie wszystko, przyszedłem do ciebie po szczegóły, może z walącego się gmachu twego szczęścia cośkolwiek ocalić będzie można.

— Przyczyna waszego zerwania jest jak dotąd dla wszystkich tajemnicą. Czy nastąpiło ono pod wrażeniem jakiego chwilowego nieporozumienia, czy stało się wynikiem wielu składających się na to faktów?... Przed miesiącem, kiedy widzieliśmy się ostatni raz pełen byłeś jaknajlepszych nadziei. — Czy przypuszczałeś katastrofę?

Ani mi przez myśl nie przeszła — odrzekłem. Wiesz przecież, że przyznawałem sobie zawsze ten wielostronny a bystry rzut oka, który, gdy dostrzeże grożące niebezpieczeństwo, w sam czas potrafi mu zapobiedz. — Stało się inaczej... Przyjaciel mój uśmiechnął się, niedowierzająco przysunął się bliżej do mnie i rzekł: „Proszę cię o spowiedź szczerą, bez żadnych wstępów i omawiań.“

Wtedy przysłoniwszy oczy dłonią zacząłem opowiadać:

„Znasz Władzię i darzyłeś ją wielką twoją sympatyą, znałeś ją niestety lepiej odemnie, więc o jakiś chwilowy kaprys posądzić jej nie możesz, cała wina po mej stronie. Zapóźno poznałem, że dusza mej narzeczonej ma głębie dotąd mi nieznane, że ze stałością jej charakteru, z subtelnemi jej uczuciami rachować się powinienem był na każdym kroku; miałem ją za dobre, urocze dziecko, mające wiele uczucia dla mnie— ale za dziecko jeszcze. Moja wrażliwa natura nie chciała poprzestać na tej sielance i od czasu do czasu szukałem silniejszych wrażeń, które nie pociągały za sobą żadnych następstw. Teraz posunąłem się zadaleko.

Na imieniny Władzi wybrałem się na kilka dni wcześniej. Zdziwiłem się bardzo, zastawszy tam koleżankę Władzi z pensyi. Pierwszego wieczora nie zwróciłem na nią uwagi, spostrzegłem tylko, że ma ładne czarne oczy i jest bardzo śmiała... nic więcej. Następnych dni, ponieważ Władzia pomagała matce w przygotowaniach do przyjęcia gości, ja bawiłem pannę z Warszawy.

Odrazu poznałem, że przywykła ona do hołdów, więc z całym rozmysłem okazywałem jej chłód, który widocznie ją drażnił, bo była dla mnie ironiczna, wyzywająca. To mię znów zaczęło irytować i słowo po słowie prowadziliśmy rozmowy nieuchwytne, pełne dwuznacznych półsłówek, które są zapowiedzią „flirtu.“

Tak było przez kilka dni, w ciągu których wiele powiedzieliśmy sobie.

W przeddzień imienin Władzi deszcz padał od rana, a chociaż w południe wypogodziło się trochę, nie mieliśmy jakoś ochoty użyć przechadzki; siedzieliśmy więc we dwoje w małym saloniku. Po pewnym czasie Władzia zaproponowała Maryi pójść przebrać się do

obiadu, bo kilka osób miało dziś jeszcze nadjechać.

— Nie mam ochoty przebierać się. Nie czekaj na mnie. Potem przyjdę — odpowiedziała.

Zostaliśmy sami. Zapanowało milczenie, które dla obu było bardzo przykre.

Towarzyszka moja siedziała na maleńkiej kanapce, ja obok na fotelu. Kilka promieni słonecznych padało na jej głowę; migotały i znikały z dziwną szybkością. Zapatrzony w tę grę światła, przerywając milczenie bez namysłu, powiedziałem:

— Widzę, że pani jest dość zmienna, przed chwilą byłaś w wybornym humorze. Teraz nagle coś wpłynęło na jej uczucie...

— Jakie?... miłosne może? — wyzywająco zapytała.

— Co do tych sądzę, że nie doświadczasz ich pani nigdy.

Dlaczego?... Czy jestem z lodu? Czy płomienie nie są dość gorące ,by mnie rozegrzać?...

Chcąc położyć koniec tej niewłaściwej grze słów, wstałem i rzekłem:

— Boję się płomieni, więc uciekam przed grożącem mi niebezpieczeństwem.

Wtedy ona zerwała się z kanapki, wzięła moje ręce w swe dłonie, a pochylając się ku mnie główką, z jakimś demonicznym błyskiem w oczach patrzyła na mnie....

— Jesteś pan ostrożny. Chcesz się cofnąć póki czas jeszcze... Z sercem igrać nie wolno — dodała z cicha.

— Więc pani masz serce?....

W tej chwili ktoś wszedł do sąsiedniego pokoju, ona odskoczyła odemnie i rzekła z zimną krwią, którą podziwiałem: Zabawa jutro uda się doskonale.

Przerwałem i spojrzałem na Edmunda — był dziwnie poważny i smutny zarazem; czułem, że potępia mię, więc rzekłem.

— Nie myśl, że nie zdawałem sobie jasno sprawy z tego wszystkiego. Czułem całą potęgę mej miłości dla Władzi, ale ulegałem czarowi tej kokietki, którą przeniknąłem na wskroś. Odrazu poznałem, że należy ona do rzędu kobiet, których jedynym celem w życiu jest wywoływanie burz i namiętności z całym chłodem, nie wkładając w to odrobiny serca... cokolwiek nerwów tylko. Im więcej taka kobieta ma godzin flirtu, tem większy święci tryumf!.... Przytem znając szlachetne serduszko mej narzeczonej nie chciałem za nie płacić jej fałszem i obłudą. Otóż postanowiłem wycofać się z tej partyi przezornie, tłomacząc pannie Maryi, że, jako narzeczonemu, nie wolno mi uprawiać tego sportu i w sposób grzeczny, ale stanowczy chciałem odeprzeć wszelkie pociski jej czarnych oczu.

Pomimo tego zamiaru czułem ucisk na sercu i dziwna przychodziła mi trwoga, żałowałem szczerze, że wdałem się w tę historyę.

Z całą też niecierpliwością oczekiwałem jutrzejszej zabawy, w ciągu której mogłem znaleźć właściwą chwilę na tę rozmowę, bez zwrócenia uwagi całego towarzystwa. Po przetańczeniu tedy walca podałem ramię mojej tancerce i zaproponowałem zejście do ogrodu.

Ciemność zupełna panowała w parku, różnokolorowe latarnie, porozwieszane na drzewach gdzieniegdzie jaśniejsze rzucały blaski — obejrzałem się, szukając jakiej wolnej ławeczki, ale napróżno! Całe towarzystwo zmęczone tańcem i gorącem w ogrodzie szukało ochłody; on i ona na werendzie, w altanie, pod lipami, jednem słowem wszędzie.

Doświadczyłem uczucia dziwnego zawodu, nie chciałem bowiem, by kto nas słyszał, rzekłem więc do mej towarzyszki:

— Chwilę rozmowy, o którą prosiłem, odłożyć musimy; tyle tu osób...

— W takim razie powrócimy do domu — zaproponowała — pusto tam obecnie.

Podałem jej ramię i przez werendę przeszliśmy do tego samego saloniku, w którym siedzieliśmy wczoraj.

Panował tu miły półcień, ustawione na stolikach i w żardinierkach bukiety i kosze kwiatów dyszały upajającą wonią.

Chwila ciszy....

Ona utopiła wzrok pełen blasku.... Nie wytrzymałem tego spojrzenia i oczy przed nią spuściłem.

Cicho rzekłem: Proszę o rączkę na znak przebaczenia.

— Ależ ja na pana wcale się nie gniewam.

— W każdym razie wobec pani bardzo zawiniłem ,wiem o tem. Pojmie pani przecież ,że mnie nie wolno było okazywać jej tyle... sympatyi...

Łuna pożaru zaświeciła w jej oczach, nie wyrywając ręki z mego uścisku, spytała:

— Czy to ma być grzeczna krytyka mego postępowania... czy ostrzeżenie?

— Może ostrzegam samego siebie tylko, póki czas jeszcze.

— Co do mnie — rzekła widocznie podrażniona. — Jestem tego przekonania, że nic i nikt zabronić mi nie może przyjmować lub odrzucać hołdy, zresztą nie wiedziałam, że jesteś pan zwolennikiem przekonań Katona — śmiała się ironicznie.

Zacząłem tracić cierpliwość.

— Na Boga chciej mnie pani zrozumieć, to takie łatwe do pojęcia....

Milczała... tylko pochylała się coraz bliżej... bliżej... czułem gorący jej oddech na mej twarzy, nie miałem siły usunąć się... przestałem panować nad sobą... przyciągnąłem ją do siebie i szeptałem nieprzytomny. — Więc kochasz mię? a tuliłem w szalonym uścisku i czułem palące jej usta na moich...

Ktoś wszedł!...

Czar prysł nagle... oprzytomniałem w jednej chwili.... Niestety — było zapóźno!....

* * *

O Maryo, Maryo, ileś mi złego wyrządziła!...

* * *

Cały ogrom mojej winy, zgubne skutki igrania własnem sercem i cudzem jasno mi się przedstawiały, gdy w parę godzin później narzeczona moja, zdejmując z palca pierścionek, rzekła mi:

— Przypadkiem widziałam wszystko, więc sądzę, że tak będzie lepiej.

Mówiąc to była zupełnie spokojna, tylko bardzo blada.

Przedemną stała już nie urocza, naiwna dzieweczka, ale świadoma swych czynów i uczuć kobieta.

Kiedyś żartami powiedziała do mnie: — Cząstki uczuć nie przyjęłabym nigdy — całość albo nic!... Wspomnienie tych słów tak żywo w danej chwili stanęło mi w pamięci, że osłupiony milczałem. Czułem, że zamało ją kochałem i ceniłem...

. . . .

Lecz postać jej zostanie dla ciebie zawsze jednako czysta, promienna, nie przyćmiona żadnym cieniem — ozwał się do mnie Edmund — a w jego słowach było tyle bólu, tyle bezbrzeżnej rozpaczy, że nań zdziwiony spojrzałem.

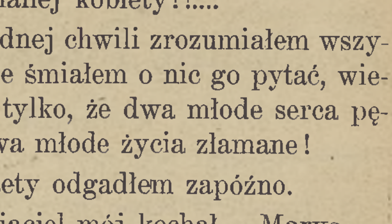
Gorejące źrenice, zwrócone ku mnie, zdawały się wołać: „Po coś mi wydarł szczęście, ufność, wiarę w serce ukochanej kobiety!!....

W jednej chwili zrozumiałem wszystko... nie śmiałem o nic go pytać, wiedziałem tylko, że dwa młode serca pękły.... dwa młode życia złamane!

Niestety odgadłem zapóźno.

Przyjaciel mój kochał.... Maryę.

Adelina Zajkowska.



Wiadomości.

— **Piękny portret w kolorach** Ojca św. Piusa X, dołączymy jako premium do „Pracy“ jeszcze w bieżącem ćwierćroczu. Portret będzie wykonany pod każdym względem artystycznie i przewyższy wartość kwartalnej przedpłaty na „Pracę.“ Niech więc korzystają z tej sposobności nowi abonenci jak najwięcej i niechaj zapisują sobie „Pracę“ na wrzesień bezzwłocznie na poczcie i w naszej ekspedycyi w Poznaniu. Kwity pocztowe na miesiąc wrzesień są zamieszczone na osobnej stronie pod opaską. Przedpłata na ten miesiąc wynosi tylko 42 fen.

— **Pan K. Werner** osiedlił się w mieście naszem przy ulicy Kopernika nr. 1 II piętro, jako przysięgły taksator miejskich i wiejskich ruchomości i nieruchomości. Zwracając na ogłoszenie p. W. uwagę, polecamy go łaskawym względom naszych Czytelników z nadmienieniem, iż p. W. jest wytrawnym w swym zawodzie taksatorem, gdyż urząd ten pełni już przeszło 20 lat.

— **Towarzystwo Młodzieży polsko-katolickiej w Poznaniu.** Ponieważ niczem nieubłagana powódź przerwała nam zabawę, gdyśmy się zbliżali do ostatniej części naszego programu t. j. do tańcy, a z wielu stron wyrażono nam życzenie, aby ją uzupełnić, przychylamy się do tegoż i donosimy, iż uzupełnienie tejże zabawy odbędzie się dnia 30-go b. m. w Parku Wiktoryi. Początek o godz. 4. Zabawa urozmaiconą będzie grami o premie dla pań i panów. Koncert wykona tutejsze „Koło muzyczne“ pod dyrekcyą p. Ponieckiego. Oprócz tego odśpiewa „Kółko śpiewackie“ kilka utworów pomiędzy innemi „Zaloty na Kujawach.“ Tańce rozpoczną się punktualnie o godz. 7. Podczas tańcy odpalenie sztucznych ogni, których dostarczyła znana firma p. Wojciechowskiego. Wstępne znacznie zniżone, bo tylko 20 fen. Spodziewamy się przeto, że Szanowna Publiczność, życzliwa Towarzystwu naszemu, podąży licznie na zabawę Młodzieży, zwłaszcza, że to jedna z ostatnich zabaw latowych, zachęcając tem samem do wstępowania w grono nasze tę młodzież, która dotychczas błądzi samopas, nie mając żadnego celu. W końcu dodajemy, że komunikacya na drodze Dębińskiej przywrócona, a uroczy Park Wiktoryi daje możność odetchnięcia zdrowem i czystem powietrzem.

Zarząd.

— **Związek Sokołów polskich** w państwie niemieckiem podzielony na 9 okręgów odbywa corocznie tak zwane okręgowe zloty. Liczba ćwiczących publicznie członków świadczy najlepiej o rozwoju gimnastycznej idei sokolej. Dotychczas ćwiczyło w Gnieźnie (okręg 1) 70, w Kórniku (okręg 2) 165, w Świeciu (okręg 4) 20, w Berlinie (okręg 5) 104, w Bruckhausen (okręg 7) 70, w Krobi (okręg 8) 80, w Castrop (okręg 9) 100. Odbędzie się jeszcze zlot okręgu 3, tak iż liczba ćwiczących dosięgnie 700. Kobiety wystąpiły na dwóch zlotach publicznie a mianowicie w Berlinie 42 i w Kórniku 56 razem 98. Oddziały uczni istnieją już prawie wszędzie. Zlot okręgu 2 w Kórniku odbyty zeszłej niedzieli cieszył się mimo niepogody żywym udziałem publiczności. Ćwiczeniami kierował naczelnik okręgowy druh Rajewski z Jeżyc. Kobiety ćwiczyły laskami i skakawkami. W południe odbyło się śniadanie, na którem przemawiali druhowie Rakowski z Kórnika jako gospodarz, Preiss z Poznania jako prezes okręgowy, poseł Głębocki, członek gniazda kórnickie, go i K. Rzepecki, sekretarz wydziału związkowego. Ćwiczenia uczni chorągiewkam, wykonane wzorowo zyskały uznanie znawców. W roku przyszłym odbędzie się zlot powszechny w Poznaniu prawdopodobnie, który należycie przygotowany i przez społeczność poznańską życzliwie poparty może prześcignąć wszystko, co dotąd w dziedzinie sokolstwa widziano.

— **Proces o rozruchy wyborcze** w Zabrzu na Górnym Śląsku skończył się, jak wiadomo, zasądzeniem tylko jednego z obwinionych. „Oberschl. Wanderer“ wywiesił w dniu wyborów ściślejszych rezultaty wyborcze w oknach swej redakcyi. Wskutek tego zebrało się przed domem mnóztwo osób, które w końcu zapełniły całą ulicę, a kilku zawołało: „Niech żyje Korfanty!“ Policya starała się ulice opróżnić, a gdy jej się to nie udawało, gdyż każdy chciał przeczytać ile głosów padło na Korfantego, policyanci dobyli pałaszy. Nikogo nie aresztowano na miejscu, lecz mimo to 14 robotnikom wytoczono proces o rozruchy. W terminie oświadczyła większa część oskarżonych, iż przed redakcyą „Oberschl. Wanderer“ wcale nie byli i udowodnili to świadkami. Inni zdołali wykazać, że policyanci bili ich pałaszami, chociaż zachowywali się zupełnie spokojnie. Wobec takiej obrony sam prokurator przyznać musiał, że oskarżenie o opór przeciwko władzy jest niczem nieuzasadnione i ten punkt skargi cofnął. Zdaniem prokuratora tylko dwóch oskarżonych było winnych, a 7 mocno podejrzanych. Prokurator wniósł dla robotnika Nowaka o 3 miesiące więzienia, dla robotnika Pająka 4 tygodnie. Sąd skazał Nowaka za udział w rozruchach na 2 miesiące więzienia, a innych oskarżonych uwolnił.

— **W sprawie o zaburzenia w hucie Laury** stawać będzie przed sądem 66 osób, jak donoszą pisma niemieckie. W więzieniu śledczem znajduje się 29 oskarżonych. Dzień rozpoczęcia procesu jeszcze nie oznaczony. Prokuratorya oparła oskarżenie na paragrafach 115, 116, 118 i 119 kodeksu karnego — o zaburzenia i zbiegowisko, a nie o zakłócenie spokoju krajowego (Landfriedenbruch), jak początkowo głoszono.

— **Na wiecu polskim** w Dellwig w Westfalii z udziałem około 700 osób — przyjęto następujące rezolucye:

1) Jako katolicy wiernie zawsze stać chcemy i będziemy przy namiestniku Chrystusa na ziemi, papieżu rzymskim;

2) Jako Polacy uważamy za nasz obowiązek stać twardo przy naszej narodowości polskiej i w duchu narodowym chować dzieci nasze;

3) Jako robotnicy uważamy za konieczne, abyśmy się zorganizowali na zasadach chrześcijańskich, ale we własnej organizacyi, którą posiadamy w „Zjednoczeniu zawodowem polskiem“;

4) Protestujemy energicznie przeciw

prześladowaniu Polaków i Towarzystw naszych dlatego, że Polacy na obczyźnie głosowali nie na centrowca, lecz na własnego kandydata, Polaka i katolika.

5) Ponieważ właściciele sal w Botropie nie tylko na wiece nie chcą użyczyć nam swych lokalów, lecz nawet nasze polsko-katolickie Towarzystwa z nich wyrzucili, przeto przypuszczać musimy, że nie pragną oni, aby Polacy do ich restauracyi uczęszczali, że nie chcą polskich pieniędzy;

6) Trzeźwość uważamy za jednę z największych dźwigni naszego narodu, przeto postanawiamy nietylko sami żyć trzeźwo, lecz zamiłowanie trzeźwości pragniemy krzewić także wśród rodaków. To zaś, co w ten sposób oszczędzimy — pragniemy składać na budowę „Domu ludowego“ w Botropie, aby uzyskać salę na posiedzenia Towarzystw i na wiece;

7) Wyrażamy ubolewanie z powodu wydania listu agitacyjnego ks. kardynała Koppa, skierowanego przeciw naszym gazetom polskim, stojącym na stanowisku szczerze narodowem. W przeciwieństwie do ks. kardynała, uważamy język ojczysty jako dar Pana Boga, który każdy człowiek kochać i pielęgnować powinien, a nie — jak ks. kardynał — tylko za nic nie znaczącą szatę zewnętrzną.

— **Wejherowo**, dnia 24 sierpnia. W ostatnim czasie została fabryka cygar p. Pokory przez wybudowanie jeszcze jednego gmachu fabrycznego i zaprowadzenie różnych maszyn jako też czterokonnego motoru do pędzenia takowych, znacznie powiększoną. Pan Pokora zakupił blizko swej fabryki kawał dogodnie nad szosą leżącej ziemi i tam buduje 4 duże domy po 10 mieszkań dla swych robotników, ażeby takowi oprócz innych dobrych urządzeń fabrycznych mieli także wygodne pomieszkanie. Fabrykaty p. P. znane są powszech[illegible] jako towar przedni, wyborowy. Tak[illegible] rzeczywiści palacze i lubownicy dobrych tytuni.

Zmarli.

† Ś. p. *dr. Stanisław Szenic*, emerytowany profesor gimnazyalny, dnia 18-go b. m. w Poznaniu w 73 roku życia.

Zmarły był długi czas profesorem przy gimnazyum w Śremie, a potem w Głubczycach na Ślązku. Po długoletniej czynności w zawodzie profesora, wziął od lat kilku emeryturę i zamieszkał w Poznaniu. Nie kształcił on młodzieży z musu i obowiązku, jak to dzisiejsi pedagodzy polityczni czynić zwykli, tylko wpajał w nią zasady takie, jakie spowodowały, że w „interesie służby“ wysłano go w dalsze strony. Liczba tych profesorów Polaków już dziś bardzo mała. Cześć jego pamięci!

† Ś. p. *ks. dziekan Hieronim Trętowski*, proboszcz w Zblewie (Prusy Zachodnie) dnia 22-go b. m. w 68 roku życia a 43 kapłaństwa, mąż pełen zasług i kapłan wedle serca Bożego. R. i. p.

† Ś. p. *Henryk Kuczyński*, syn wdowy pani Kuczyńskiej, właścicielki zakładu fryzyerskiego i towarów galanteryjnych w Poznaniu, uczeń gimnazyum św. Maryi Magdaleny, młodzieniec rokujący świetne nadzieje, dnia 17-go b. m. w Waren w wieku lat 17. Pogrzeb odbył się w Poznaniu dnia 22. b. m.

† Ś. p. *Walenty Dzikowski* dnia 12 b. m. w Gołębinie.

† S. p. *Antonina Mizerska* dnia 20 b. m. w Rzucowie, w guberni Radomskiej, w 78 roku życia.

Wiadomości literackie.

— **„Samouczek“**, podręcznik metodyczny do nauki śpiewu z nut tudzież początków muzyki, opuścił prasę nakładem redakcyi Biblioteki muzycznej w Przemyślu (Galicya). Cena egzemplarza 50 halerzy. Podręcznik ten nadaje się dla samouków najzupełniej.

— **„Sibirische Erzählungen“** von W. Sieroszewski. Autorisirte Uebersetzung von M. Sutram. München. 1903. Nakładem dr. J. Marchlewskiego i Sp. w Monachium wyszedł co dopiero tomik powieści W. Sieroszewskiego w tłumaczeniu niemieckiem M. Sutrama. Zawiera on: „Czukcze“ i „Dno nędzy.“ Tłumaczenie bardzo dobre. Dr. Marchlewski wielką ma zasługę, przyczyniając się do rozpowszechnienia dzieł naszych pisarzy za granicą w językach obcych. Niemcy szczególniej o literaturze naszej najmniejszego wyobrażenia nie mają.

Od Redakcyi.

„Pielgrzymowi“ w Pelplinie w odpowiedzi, że odnośnego artykuliku zamieścić nie możemy. Wystąpienie „Pielgrzyma“ a już zgoła ks. Kujota w całej wiadomej sprawie było tak niefortunne, tak nieszczęśliwe, po prostu niegodne kapłana, że, jeżeli komu, to właściwie „Pielgrzymowi“ i ks. Kujotowi zawdzięcza p. Kulerski swój wybór na posła. Pan Cz. zaś jest jednym z tych licznych zwolenników p. Kulerskiego, których dopiero ks. Kujot swem wystąpieniem dla tegoż zjednał.

Panu Czyżewskiemu w Gdańsku. — Pierwszą korespondencyą zamieściliśmy i uważamy przez to sprawę za załatwioną. Dalszej korespondencyi jako zbytecznej nie ogłaszamy, zwłaszcza, że wystąpienie Pańskie znalazło ogólny poklask i nie potrzebuje już obrony.

Niemuzykalnemu w Poznaniu. — Pikulina (po włosku piccolo) jest rodzaj małego fletu, a okaryna jest fujarka gliniana, postaci ptaka, opatrzona otworami bocznemi.

Panu St. Tr. w Stęszewie. — Udaj się Pan w tej sprawie po informacye do „Spółki szewskiej“ w Poznaniu w pałacu hr. Działyńskich.

Pani Wiktoryi R. w Nakle. — Jest to bardzo naukowe dzieło; w pierwszym zeszycie jest tylko zamieszczony opis rozpraw lekarskich z dziedziny ginekologii w rozmaitych pismach ogłoszonych drukiem. Chcesz Pani zaabonować, możesz to uskutecznić w księgarni Chrzanowskiego i Kucnera w Poznaniu.

Sokołowi w Krotoszynie. — Notatka o zeszłoniedzielnej zabawie doszła nas już po wydrukowaniu numeru na dzień 23-go b. m., zatem zamieścić nie mogliśmy.

Pani Natalii K. na prowincyi. — Niestety „ani troszkę“, forma wadliwa jest tego przyczyną.

Panu S. K. we Wrześni. — Śpiewniki są rozmaite; najlepiej zwrócić się wprost do księgarni i zażądać katalogu.

Panu S. K. w Swarzędzu. — Rzecz ta należy do działu ogłoszeń, przyślij Pan 1,50 mrk do ekspedycyi naszej na inserat, my swoją drogą zwrócimy jednocześnie nań uwagę w części redakcyjnej.

Dział kobiecy.




Z wilegiatur.

Cały obecny elegancki świat znajduje się na wilegiaturach. Na modnych plażach wre życie i odbywa się stała, a właściwie mówiąc ruchoma wystawa najwspanialszych tualet. Ostenda, Dieppe, Trouville, Dauville, Spa, Vichy, Aix les Bains, oto wybrzeża i miejsca kuracyjne najmodniejsze, najwytworniejsze w Belgii i we Francyi. Są to wielkie bardzo środowiska europejskiej elegancyi. Jedzie się tam po zdrowie, po odpoczynek.... Właściwie kobiety zamęczają się tam choćby już tylko zmienianiem cztery do pięciu razy dziennie tualety, bo wszakżeż to, choćby przy umiejętnej pomocy, ciężka zawsze praca. Posłuchajmy co pisze o strojach w Trouville tamtejsza „Revue de la saison.“

Ruch zaczyna się wcześnie, a ele gancka dama zamawia swoją „cabine“ już na 9-tą rano. Modne i bardzo szykowne, puszczone i szerokie płaszcze zeszłoroczne, zastąpiono ulubionem *palto-sac* lub bretońskim. Palto takie wykończone jest z sukienka białego, ma dwie lnb trzy pelerynki, a spięte bywa wielką haftką; takie są najmodniejsze, zakrywają zupełnie suknię, wykluczają gorset; dopełnia stroju duży kapelusz lub pasterka ze słomy jasnej bez kwiatów, których rano nie widać wcale, przybrana najczęściej gazą lub kolorowym tiulem i obszyta na samym brzegu dosyć szeroką koronką *Valencienne*, która przysłania zlekka twarz ładnie ją oceniając. To jest strój kąpielowy, w którym spaceruje się godzinkę po wyjściu z fal morskich na plaży i pije się kawę lub czekoladę, w którejś z modnych kawiarni. Tak ubraną wolno być modnej damie tylko do 10 rano. Od jedenastej do dwunastej panuje w wykwintnym Tronville względna cisza, kąpią się dzieci, wygrzewają się na słońcu zamożni *rentiers*. O 12½ zaczynają się śniadania. Druga zmiana tualety. Obowiązkowa suknia z *grosse toile* wszystkich kolorów, skromnie zrobiona. Jeżeli płótno jest koloru *bise*, *écru* lub popielate, przybiera go się płótnem koloru żywszego, do tego pasek fularowy w białe grochy i takaż koniecznie parasolka Kapelusz skromny nie wielki, toczek lub *marin* przybrany również fularem lub ruszą. W takiej tualecie zjada się śniadanie i czas schodzi do godziny 3. O trzeciej wraca się do hotelu, aby chwilę odpocząć, odetchnąć, zdjąć gorset i trzewiczki, coś czasem przeczytać, napisać jakiś bilecik i w eleganckim peignuarze czekać na fryzyera, który ma koło godz. piątej zbudować wytworną koafiurę już na obiad i wieczór. Modna pani o wpół do siódmej jest znowu *transformee* i to bardzo wspaniale. Tualeta obiadowa letnia. Tu się zaczyna panowanie *crêpe de Chine* lub *crêpe des Indes* i koronki, inkrustacye, falbany, rozszywania ze wspaniałemi wstawkami, całe *flots* gazy karbowanej, krepy. suknie niezmiernie szerokie, powłoczyste, wspaniałe i przepiękne olbrzymie kapelusze, na których widnieją całe ogrody kwiatów, całe *touffes* piór strusich, kosztownych koronek, drogocennych spinek itd. Kształt tych *merveillés* nie jest w tym roku ściśle oznaczony, bo panie doszły do przekonania, że nie twarz dla kapelusza, ale kapelusz dla twarzy, noszą więc takie, w jakich której ładniej, co jest niezmiernie racyonalne. W takiej tualecie modna dama idzie (to trochę trudno) lub jedzie na obiad, który trwa do 8 i pół. Jeżeli idzie tylko do teatru, na koncert lub do *Café chantant*, do których tam uczęszcza najwykwintniejsze towarzystwo, to już nie zmienia tualety, jeżeli zaś proszoną jest na jakieś duże zebranie, gdzie mają tańczyć, na jakąś dobroczynoą *ventę* i t. p.. to wraca do domu i jeżeli nie zupełnie zmienia to przynajmniej modyfikuje tualetę, bierze stanik półwycięty z półdługiemi rękawami; inny, o ile to możebne, jeszcze strojniejszy kapelusz, białe za łokieć rękawiczki, no i czyta lub rozmawia do drugiej w nocy...

Przyznać należy, że to odpoczynek... bardzo fatygujący.. tak zwany *surmenage*, prowadzący do zupełnego rozstrojenia organizmu; niema kąpieli, niema źródeł na świecie, zdolnych podtrzymać targane w ten sposób siły, które wreszcie nieubłaganą logiką i konsekwencyą fizyczną, muszą odmówić posłuszeństwa tym nieużytecznym i modnym lalkom, zasługującym w pełni na miano pracowitych próżniaczek. *W. W.*

Praca kobiet w Ameryce.

Ameryka, ów kolosalny warsztat nowych form pracy, potrafiła spożytkować pracę kobiety na polach, dotychczas nawet w myśli niedostępnych Europejkom. Żokeje i listonosze oraz strażacy i grabarze mieli do tej pory tylko męskich przedstawicieli. Obecnie do rzemiosł tych zabrały się i kobiety no, i — pracują z wielkiem powodzeniem. Przytoczymy kilka nazwisk. Mstrs. Begwill uważaną jest za jednego z najlepszych żokejów. Mając zaledwie lat dwanaście zdumiewała wszystkich swoją niezasadnością jazdy wierzchowej. W następstwie wyszła za mąż za właściciela stajni wyścigowych i przekonała, że zastąpi mu żokeja i zdobędzie niejedną pierwszorzędną nagrodę, co jej się też stale udawało i zyskala jak najlepszą opinię w kołach sportowych. Roza Stoorjon jest jednym z najlepszych pocztylionów. Utrzymuje ona kumunikacyę pocztową pomiędzy dwoma miastami w stanie Oregon — w miejscowości bardzo niebezpiecznej, bo słynącej napadami i rozbojami. Trzecia Amerykanka, Miss Aldy, zdobyła rozgłos jako nieustraszona amazonka. Z rewolwerem w ręku krąży ona po najdzikszych ostępach leśnych, z zadziwiająco zimną krwią wyślizgując się często śmiertelnym niebezpieczeństwom. O lepsze z Amerykankami walczą Japonki. Kto był w Nagasaki, widział zapewne dziesiątki kobiet, pracujących przy maszynach na parostatkach, gdzie spełniają czynności smarowników. Wreszcie w Szwecyi, w mieście Nasso, straż ogniowa składa się ze 150 kobiet, których energii, odwadze i poświęceniu miasto zawdzięcza swe szczególne bezpieczeństwo przeciwogniowe.

Dział rolniczo-ekonomiczny.

Nowe Kółko rolnicze.

Za staraniem ks. Sikory z Wielkiego Chrzypska i p. Małeckiego z Mościejowa założone zostało dnia 9. sierpnia pod przewodnictwem sekretarza Kółek rolniczych p. Brownsforda z Poznania, którego nam p. Patron raczył przysłać, Kółko rolnicze na parafią Wielkie Chrzypsko.

Zebranie zagaił ksiądz Sikora i powitał p. Brownsforda, potem zabrał głos pan Małecki, który w serdecznych i wymownych słowach wskazuje zebraniu na wzniosły cel Kółka, na wspólną pracę i dążność do poprawienia sobie bytu, i ażeby ta nasza święta ziemia z rąk nam się nie usuwała, ale chociaż tylko po piędzi się powiększała i dziękuje w serdecznych słowach p. Brownsfordowi, który był łaskaw przybyć do nas i przywieźć od Patronów p. Chłapowskiego jak i sędziwego p Jackowskiego życzenia „Szczęść Boże!“ dla naszego Kółka i poprosił p. Brownsforda na przewodniczącego zebrania.

Po odczytaniu i przyjęciu ustaw, przystąpiono do wyboru zarządu, wybierając na prezesa p. Małeckiego, na wiceprezesa księdza Sikorę, sekretarza p. Hologę, na skarbnika gospodarza p. Kosickiego, na ławników gospodarzy pp. Sobczaka, Ratajczaka, Kukuckiego i Biedziaka, przystąpiło i zapisało się 62 członków.

Następnie miał p .Małecki wykład „O chowie cieląt“, a p. Hołoga „Co na czasie w tym miesiącu w rolnictwie trzeba robić“ oraz „O rachunkowości i zapisywaniu w rejestrach gospodarczych“.

Potem zabiera głos p. Brownsford i cieszy się, że tak licznie przystępują członkowie do Kółka i daje rozmaite rady co do rolnictwa, chowu bydła, przytem nadmienia, ażeby pp. gospodarze swoich synów na zebrania przyprowadzali, ażeby się na dzielnych ludzi mogli wyrobić i pyta się, ilu jest zabezpieczonych od ognia i gradu. Wykazało się, że od ognia jest zabezpieczoną połowa, od gradu zaś czwarta część członków. Przytem wspomina o „Kalendarzu rolniczym“, który jest połączony z rejestrami, a zebranie zamawia 60 sztuk.

W końcu zabierają głos pp. Luch, Piechocki i Małecki, dziękując raz jeszcze p. Brownsfordowi za łaskawe przybycie i Patronom za ojcowską życzliwość i opiekę i wznoszą dla tych trzech panów trzykrotny okrzyk „Niech żyją!“

Na tem przewodniczący solwował zebranie, które trwało przeszło 3 godziny.

Hołoga, sekretarz.

Nowy cylinder do maszyn parowych.

W zwykłych cylindrach maszyn parowych ulatuje para, — po wywarciu odpowiedniego ciśnienia na tłok, — bezpożytecznie w powietrze. Aby jej siły raz jeszcze użyć, łączono kilka cylindrów ze sobą (t. zw. compound). System ten przecież dla znacznych kosztów jest ekonomicznie możliwym tylko przy wielkich maszynach; w mniejszych zaś trzeba się było dotąd zadowalniać cylindrem pierwotnym.

Niedostatkowi temu zaradzi wreszcie najnowszy wynalazek pana Henryka Suchowiaka, nadinżyniera w fabryce maszyn H. Cegielskiego w Poznaniu. Jak jeden z ostatnich numerów „Reichsanzeigera“ ogłasza, zameldowała rzeczona firma nowy ten pomysł jako patent na *„cylinder roboczy bez stałych podziałów dla dwóch wspólnie na jednę oś pracujących tłoków.“*

Jeżeli wynalazek ten wytrzyma ogień próby, to budowa lokomobil i takich maszyn parowych, jakich nasz przemysł potrzebuje, znacznego dozna ulepszenia, a wynalazcy i firmie przysporzy uznania i sławy.

Al.

Jak podwyższyć plony oziminy?

Jesienne roboty rolne już w najbliższym czasie się rozpoczną, a każdy gospodarz zaopatrzyć się powinien w potrzebne do tych robót nawozy sztuczne. Posługiwanie się tylko jednym nawozem — co ma miejsce w wielu wypadkach, jest postępowaniem fałszywem, gdyż roślina nawożona, n. p. saletrą chilijską, nie jest w stanie się rozwinąć. Saletra chilijska daje roślinom na pożywienie azot, podczas, gdy rośliny do swego rozwoju nieodzownie potrzebują kwasu fosforowego i potasu. Te środki pożywne doprowadza się roślinom najlepiej mączką żużlową Thomasa i kainitem lub solą potasową. Jednostronne nawożenie należy rolnikom odradzać. Nawożenie fosforowe mączką żużlową Thomasa stało się niezbędnym środkiem do podniesienia zbiorów z ról, łąk i pastwisk, a z powodu niskich obecnie cen płodów, nie należy niczego zaniechać, żeby tylko jak najwyższe zbiory osiągnąć i w ten sposób niską cenę wysokimi zbiorami wyrównać. — Celem utrzymania możliwie wysokiego zbioru, należy na podstawie praktycznych doświadczeń, użyć na 1 hektar 6—8 cet. metr. mączki żużlowej Thomasa, 6—8 cet. metr. kainitu na grunta lekkie lub 2—3 cet. metr. 40 prc. soli potasowej na grunta ciężkie i 1$^1/_2$—2 cet. metr. saletry chilijskiej — lub też jako uzupełnienie do obornika — w którym wypadku wszystkie zawarte w oborniku części pożywne, zostają wykorzystane, 4—6 cet. metr. mączki żużlowej Thomasa, mniej więcej równą ilość kainitu na grunta lekkie, lub 1$^1/_2$—2 cet. metr. 40 prc. soli potasowej i 1$^1/_2$ cet. metr. saletry chilijskiej.

Rozmaitości.

Polska kopalnia złota.

W Dz. chicagoskim p. Modest Maryański ogłasza, że nad rzeką Sakramento w Kalifornji otwarta będzie wkrótce polska kopalnia złota. Natrafiono na niezmiernie bogate pokłady, zawierające do 40 uncji złota i 75 do 120 dolarów na tonę kruszczu. Żyły mają nadzwyczajnie grube i długie. Akcje kopalni nabywane są po cenie 50 dolarów za 100. Jako założyciele figurują ludzie, znani wśród Polaków amerykańskich: ks. Grutza, sędzia La Buy i Smulski.

Płótno nieprzemakalne.

Mamy tu jedynie na myśli płótno grube, używane zazwyczaj dla ochrony zaskoczonych przez deszcz towarów. Aby uczynić je nieprzemakalnem w sposób prosty i niekosztowny, należy rozpuścić w glinianem naczyniu dziewięć części żywicy, dodając do niej 15 części oleju rzepakowego. Po dobrem wymieszaniu cedzi się to wszystko. Następnie należy pociągnąć powtórnie. Mieszaniny tej używa się również do nasycenia powrozów zaprzęgowych, lin od sieci i t. p., co zabezpiecza je od wsiąkania wody, a dodaje im jednocześnie mocy i trwałości.

Dodatek Humorystyczny.

Korespondencya miłosna.

kawalera (lat 29) zamieszkałego w Poznaniu z młodą wdową (lat 25, żyła w stanie małżeńskim lat 6) zamieszkałą na wilegiaturze.

Poznań.

Droga Pani! Najukochańsza moja narzeczono!

Prawdziwie, gdy myślę o pani i gdy spoglądam na pierścionek zaręczynowy, tkwiący na moim palcu serdecznym, to doprawdy, nie mogę pojąć i zrozumieć, czy znajduję się na tym świecie lub na tamtym, lub też przeciwnie.

To tylko jedno rozumiem, że kocham Cię o Klaro, i że jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, ponieważ wkrótce będę Cię mógł nazwać moją, moją na wieki.

Czas bez Ciebie, o aniele, dłuży mi się fatalnie i doprawdy niewiem, jak ja do końca sezonu letniego dociągnę. Co najgorsze, mój zwierzchnik ani chce słyszeć o udzieleniu mi urlopu, więc schnę jak ta lilia nie podlewana przez niedbałego ogrodnika.

Czy ty także o mnie myślisz droga Klaro?

Odpisz mi jak najprędzej, abym mógł nosić drogie pismo Pani na mojem sercu wezbranem słodkiemi uczuciami. Bo ty nie wiesz, jak ja Cię kocham aniele!

Przywiązany do grobu.
Ewaryst.

Puszczykowo.

Mój panie Ewaryście!

Bardzo dużo napisał mi pan o miłości, ale nic nie wiem czy pan był w mojem mieszkaniu i czy stróżka przewietrza pokoje, bo później, jak powrócę, będzie stęchlizna i wilgoć, a zdrowie dzieci wymaga czystego powietrza.

To, że pan za mną usycha jest bardzo dziwne, ponieważ tu na wsi mamy deszcze codziennie, że człowiekowi już życie brzydnie.

Z resztą mój nieboszczyk mąż, będąc narzeczonym, także sechł z tęsknoty, a potem gdy już weszłam do jego domu całemi wieczorami zalewał się po restauracyach piwem i to go właśnie zgubiło.

Aniołem możesz mnie pan nie nazywać, raz, że wypisanie takich rzeczy czas zabiera niepotrzebnie, a powtóre ja tam wolę wiedzieć na pewno jaka jest wysokość pańskiej pensyi.... Mój ś. p. Gracyan chodząc na konkury też szczękał zębami, bił się w piersi, znosił mi masę zielska i przepisywał rozmaite wierszyki do mego albumu — a po ślubie wyszło na jaw, że nie jest wcale maszynistą klasy pierwszej tylko poprostu od towarowych.

Co do mnie, owszem, mogłabym panu sprzyjać na całe życie, lecz to mi się nie podoba, że ten pierścionek zaręczynowy, który od pana dostałam jest srebrny i tylko pozłacany i ten napis „Souvenir" trzeciego dnia, gdy fartuszki dziatwie przepierałam, wypadł, więc ta rzecz wymaga porozumienia. A ja dałam panu mój pierścionek otrzymany na zaręczyny od nieboszczyka męża wysokiej próby z turkusem.

Zawsze ta sama
Klara.

Poznań.

Najdroższa Klaro!

List Pani rozranił mi serce. Więc wartość pierścionka może w miłości odgrywać rolę? Więc mam Pani przysłać dowody mego stanowiska i wysokości pensyi? Klaro! Wiedz, że kocham Cię pierwszą miłością młodzieńczą, że cała istność moja żyje tylko dla Ciebie. Czy ty wierzysz w miłość prawdziwą, wielką, gorącą, na całe życie?

Uspokój moje obawy i niechaj twoja odpowiedź ukoi moją zbolałą duszę. Chodzę i śpię myśląc tylko o Tobie.

Bardzo kochający
Ewaryst.

Puszczykowo.

Do Wielmożnego Ewarysta
w Poznaniu.

Kocham, kocham! Pan myślałeś, że ze mną jak z panną, która jest naiwną, bo niedoświadczoną. Mój mąż nieboszczyk także chciał sobie przed ślubem życie odebrać, a potem, latem prawie co wieczór chodził po ogródkach i darł się na całe gardło. Po drugie, pisałam do wuja, aby się o panu wywiedział, no i co się pokazało? Jesteś pan małym urzędnikiem z lichą pensyą. Czy pan myślałeś, że samą miłością można nakarmić wdowę z czworgiem dzieci? Czy sądziłeś pan, że gorąca miłość pańska dostarczy żonie nowego gorsetu i jej dzieciom trzewików, sukienek i kapeluszy? Nie przeczę, że masz pan miły uśmiech i wąsy misternie zakręcone. Uważałam nawet, że ręce pańskie są białe, a stopy zgrabne i niewielkie.

Lecz cóż to może obchodzić moje czworo dzieci? Czy biedne te istoty zalety i wdzięki zaniosą do lombardu? Czy istnieje na świecie lombard, w którym wydają pożyczki na zastaw uśmiechów i wąsów?

Przytem jaką otrzymałam odpowiedź na moją prośbę pójścia do mego mieszkania i sprawdzenia czy je stróżka przewietrza? Napisałeś pan, że ci ranię serce. Cóż serce pańskie może mieć wspólnego z czystem powietrzem w mieszkaniu?

Odczep że się pan odemnie z podobną filozofią. Odczep się pan powiadam, bo w przeciwnym razie zaniosę skargę do pańskiego zwierzchnika, który musi być człowiekiem zacnym, jeżeli nie udzielił mu urlopu na przyjazd do mnie, jeszcze tego brakowało, abyś pan mi miał tu ręce obcałowywać i to bez żadnych widoków na przyszłość!

W miasteczku sąsiedniem poznałam piwowara, wdowca bezdzietnego, który się jąka i ma w gotowiźnie 50 tysięcy marek, który posiada nos karmazynowy i wyrabia pięć warów na tydzień.

Na imię mu Ksawery i już za drugą bytnością przywiózł moim dzieciom duże podarunki, a wszystkie nazwał „złotemi bachorami."

Ten piwowar oświadczył się o mnie i w tych dniach przyszle do Poznania swego pomocnika, chłopa jak dąb, który drzewka wyrywa z ziemi z korzeniami. Ten właśnie pomocnik przyjdzie do pana dla oddania pańskiej tandety pozłacanej i odbioru mojej obrączki szczerozłotej z turkusem.

A piwowar już mnie nazywa Klaro i oprócz browaru ma dużo gruntu, więc do czego pańskie afekty były podobne?

Z uszanowaniem
Klara.

Tragikomedya małżeńska.

—Erneście drogi, przygotuj się na straszną wiadomość!

— Przerażasz mnie, cóż takiego! przegraliśmy proces?

— Gorzej, stokroć gorzej. Erneście! odwagi! bądź mężnym!

— Ale cóż się stało u djabła?

— Znałeś Julka?

— Cóż? umarł?

— Uciekł z twoją żoną.

— Biedny Julek żal mi go serdecznie!

Dział powieściowy.



(Przedruk wzbroniony).

SPIEWACZKA LUDOWA.

Powieść illustr., oparta na faktach historycznych z r. 1815.

10)

(Ciąg dalszy.)

— Niech Kozacy, — zwrócił się książę do generała, — otoczą natychmiast cały plac — nikomu nie wolno odejść — trzeba coprędzej wyjaśnić tę sprawę! I przyprowadzić mi tu kata!

Generał wybiegł z namiotu i zaraz potem stanął Iwan przed księciem.

Wstrętny ten człowiek ukrył twarz w rękach i jęczał głośno.

— Kto cię namówił do tego oszukaństwa, — krzyknął książę rozgniewany. — Pozwoliłeś uciekać hrabiemu Orszańskiemu i w jego miejsce zaprowadziłeś niewinnego na rusztowanie! Powiedz teraz prawdę i nie uniewinniaj się niczem — jeżeli skłamiesz, wiesz, co cię czeka!

Iwan spuścił swoje rybie oczy i nie wiedział, co zrobić. Czy miał kłamać, czy wyznać wszystko, czy oskarżyć siebie, czy żonę..... Ach, on sam był zgubiony, o tem wiedział napewno, namyślał się tylko jeszcze nad tem, czy wziąść całą winę na siebie, czy też oskarżyć innych!

Nagle podniósł głowę i ujrzał Henryka i Teresę, stojących w pierwszym rzędzie. Oczy jego zabłysły szatańską radością, i wskazując na Teresę, zawołał:

— To ona — ta pani! Ona wszystkiemu winna! Dała mi dużo złota aby ratować od śmierci swego narzeczonego!

Książe spojrzał w wskazanym kierunku i ujrzał Henryka i Teresę.

— Aha, zaczynam się domyślać — szepnął.

Wszakże Henryk żył długo w Wiedniu — poznał więc tam Teresę i zaręczył się z nią. I tylko w celu uwolnienia narzeczonego przyjęła Teresa zaproszenie jego do Warszawy.

Na myśl o tem przemienieniu skazańców uderzyła mu krew do głowy. Od dawna już nie był uniesiony tak wściekłym gniewem, jak teraz.

Teresa oszukiwała go, cały świat go oszukiwał, ale on się pomści!

— Przyprowadźcie mi tutaj tę kobietę — rozkazał dwom kozakom, — i tego nieszczęśliwego — dodał, rozkazując na barona, — który o mało co byłby teraz już trupem!

Kozacy rozpędzili tłum, gromadzący się koło Teresy i ująwszy ją pod ramiona, prowadzili przed namiot księcia. Henryk szedł za nią, żadna siła ludzka nie byłaby go teraz zdołała rozłączyć z ukochaną. Wiedział, że śmierć ich czeka, ale chciał umrzeć razem z nią.

Henryk i Teresa stanęli teraz obok kata. Bondi, chwiejny i słaby jeszcze tak, że dotąd podtrzymywać go musiano, wyprostował się nagle i spojrzał na swoich wrogów z szyderczym uśmiechem.

— Zobaczymy, kto mocniejszy — rzekł głośno.

— Badaj ty ich — szepnął książe do Lebela, — ja nie mogę — złość mnie dławi!

— Jak Wasza książęca Wysokość każe — odpowiedział żyd, i zwrócił się zaraz do Teresy.

— Przyznajesz pani — zaczął — że przybyłaś do Warszawy w celu uwolnienia więźnia z cytadeli?

— Tak, przyznaję, — zawołała Teresa śmiało. — Czemu miałabym kłamać? Trzymaliście nieprawnie hrabiego Orszańskiego w więzieniu — on żadnej nie popełnił zbrodni, któraby na taką zasługiwała karę. Ja zaś jestem jego narzeczoną i uważałam sobie za święty obowiązek bronienia go!

Szmer zadowolenia dał się słyszeć pomiędzy publicznością, śliczna młoda dziewczyna pozyskała od razu ogólną sympatję. Nic tak nie jedna sobie serca ludzi, jak miłość i odwaga.

— Przyznajesz pani także — mówił Lebel dalej, — że przekupiłaś kata, aby na miejscu hrabiego Orszańskiego ściął głowę komuś innemu?

Teresa zawahała się z odpowiedzią. Wszakże ona planu tego nie ułożyła, Walenty przyszedł dziś dopiero po nią — ale czy miała zdradzić szlachetnego hrabiego Bilewskiego, który tyle dla Henryka uczynił — nie, nigdy!

— Tak, — rzekła stanowczo, — przekupiłam go i nakłoniłam do tego, aby zamiast niewinnego, zaprowadził na rusztowanie szpiega i zdrajcę! Przysięgam na Boga, że nikt nie zasłużył na śmierć tak, jak ten nędznik Bondi!

— Dosyć! — rzekł Lebel, — słyszeliśmy już dosyć i wiemy, że panna Krones przybyła do Warszawy w zdradzieckich zamiarach. Oświadczam pani, że jesteś aresztowaną!

— A ja zaraz wyrok wydam, — odezwał się książę — Nie każę pani ani uwięzić w cytadeli, ani ściąć, ani nawet na Sybir nie poślę! To, coś uczyniła było szaleństwem, tak mogą postępować tylko waryaci. Zlituję się więc nad tobą i poślę cię na całe życie do domu obłąkanych!

Okrzyk zgrozy wyrwał się z piersi Henryka.

Znał on ten dom obłąkanych w Warszawie i wiedział że okropniej tam, niż w cytadeli. Nieszczęśliwe kobiety które tam posyłano, były gorzej traktowane, jak zwierzęta i dozórczynie obchodziły się z niemi tak, że nawet najokrutniejszy Kozak wzdrygnąłby się na widok męczarni jakie tam dla chorych wymyślano.

Mieszkańcy Warszawy od dawna żądali zniesienia tego domu, ale książę ani słuchać o tem nie chciał — było to bowiem miejsce, do którego chętnie posyłał polskie szlachcianki.

— Litości! miłosierdzia! — zawołał Henryk. Dla siebie nie byłby za nic w świecie błagał księcia o łaskę — dla Teresy jednak upokorzył się przed okrutnym tyranem — Poślij ją Wasza książęca Wysokość na Sybir — tylko nie do domu obłąkanych!

— Dziś jeszcze tam pójdzie, — odrzekł książę krótko

— Więc niech i mnie będzie wolno iść z nią! Znios

wszystko, wszelkie męczarnie — bylebym mógł być z nią razem!

— Ty hrabio Orszański jesteś wolnym! Ułaskawiłem cię wobec zgromadzonego ludu i słowa mego nie cofam! Idź gdzie chcesz!

Książę Konstanty wiedział, że niczem nie zrani tak boleśnie serca Henryka jak tem, że jemu da wolność, a Teresę zamknie w domu obłąkanych!

Kozacy zbliżyli się do Teresy.

— Bądź zdrów, — szepnęła młoda dziewczyna ze łzami, — bądź zdrów najdroższy! Nie smuć się — Bóg czuwa nad nami, On nas nie opuści!

Zanim Henryk zdołał odpowiedzieć, już Kozacy Teresę uprowadzili.

Iwana zakuto w kajdany. Płakał on i krzyczał jak szalony, ale Kozacy popychali go i wyszydzali — dziwną mieli oni przyjemność w dokuczaniu katowi, którego się tak strasznie obawiali!

Pół godziny później panowała na placu głęboka cisza, tylko Henryk siedział na stopniach rusztowania i gorzkiemi płakał łzami.

Wszyscy odwrócili się od niego. Książę Adam i Bilewski uciekli zawczasu, nie wiedział nawet gdzie ich szukać — Teresa znajdowała się w tem piekle.

— Ach! — jęknął z rozpaczą, — nigdy jej nie zobaczę! Nigdy, już, nigdy!

ROZDZIAŁ XVI.

W domu żyda Lebela.

Długo tak siedział Henryk w rozpaczliwych pogrążony myślach. Głowę podparł na rękach, nie mógł jej bowiem podnieść i drżał cały jak w gorączce.

— Ja ciebie ratuję, — zawołał nagle, — miłość silniejsza niż potęga i moc tyranów! W przebraniu jakiem wejdę do domu obłąkanych — miłość zna rozmaite drogi — drogi rozmaite — ah, jak mi zimno — zimno.....

Twarz jego rozpaloną była jak węgiel, członki zaś dreszcze przechodziły. I szeptał ciągle jakieś niezrozumiałe słowa, a nie miał tyle siły, aby wstać.

— Chory jestem, — mówił urywanym głosem, — bardzo chory, a to jest najgorsze, co mnie spotkać mogło! Tylko zdrowy człowiek może walczyć z przeznaczeniem. Jeżeli ja zachoruję, to Teresa jest zgubioną!

W tejże chwili zbliżał się ktoś do niego, zdawało mu się, że to ktoś znajomy, ale nie mógł już poznać twarzy. Przed oczami jego unosiła się jakaś mgła — chciał ją podnieść, rozedrzeć, wyciągał ręce i nie umiał jej pochwycić. Przytem szumiało mu w uszach tak okropnie — jak gdyby bałwany morskie uderzały o skały.

— Panie hrabio — jaśnie panie, — odezwał się teraz znajomy głos jakiś obok niego, — jakże jestem szczęśliwy, że jaśnie pana znowu znalazłem!

— Dom obłąkanych, — szeptał chory, — trzeba strzelać..... do murów, potem wejdę tam..... w celi siedzi moja biedna Teresa..... trzymaj się mocno mego ramienia...... zeskoczę z tobą na dół..... nie bój się Wisły..... ona nas do szczęścia......

— Jaśnie panie! Boże Wielki, czy jaśnie pan mnie nie poznaje?

— Naturalnie! — zawołał Henryk, i rozpalonemi rękami dotknął twarzy Walentego. — Ty jesteś Rajmund, uczciwy człowiek. Czy wiesz, że Teresa umarła? Tak, umarła! Położyłem kwiaty na jej grobie!

— Mój pan dostał pomieszania zmysłów, — jęknął Walenty przerażony. — Ale to nic dziwnego!

I ująwszy Henryka, podniósł go i prowadził przez łąkę do miasta. Henryk ciągle mu coś opowiadał, śmiał się, mówił o Teresie, i wybierał się na swój ślub.

Walenty był w rozpaczy. Nie wiedział on wcale, dokąd ma iść z chorym, który w Warszawie nie miał mieszkania, i nie wiedział także, gdzie szukać księcia Adama lub Bilewskiego. Do domu kata zaś bał się nawet zbliżyć.

A przecież trzeba było chorego w jakimś domu umieścić. Henryk stawał się coraz to słabszym i błagał o trochę wody.

— Pić, — jęczał, — palę się — ogień mam w gardle. Zaprowadź mnie do Wisły, wypiję rzekę i znajdę na dnie Teresę. Utopili ją — ach — pić — pić — —

— On umrze, jeżeli nie znajdę wnet doktora, — myślał Walenty. — Mój Boże, dokąd ja go mam zaprowadzić!

Teraz zdawało się, że Henryk odzyskał trochę przytomności.

— Ach, to ty Walenty, — rzekł. — Ja już dalej iść nie mogę! Połóż mnie tu — umrę na ulicy. Dziękuję ci za wszystko, coś dla mnie uczynił. Jestem żebrakiem — żebracy umierają na drodze, pozwól mi tu umrzeć, mój poczciwy chłopcze!

— Niech się robi co chce, — zawołał Walenty, — nie mam innego wyboru, jak wejść tu do tego ogrodu. Widzę tam za murem wspaniały pałac, może w nim litościwi mieszkają ludzie, którzy nam pomocy nie odmówią.

I nie namyślając się dłużej, pociągnął dzwonek, wiszący przy wielkiej, wspaniałej bramie. Prawą zaś ręką trzymał Henryka, który z zamkniętemi oczami opierał się na jego ramieniu. Czy miał przytomność, czy nie, tego Walenty nie wiedział.

Zaledwie głos dzwonka przebrzmiał, gdy bramę otworzono i jakaś młoda, bardzo piękna dziewczyna stanęła przed Walentym.

Ubrana skromnie lecz wytwornie, miała czarne włosy spięte brylantową klamrą i takie same pierścionki na białych palcach. Czarne jej oczy miały wyraz niezmiernej łagodności i dobroci serca, a małe, czerwone usta, podobne do pączka róży, zdawały się być stworzone do wesołego uśmiechu.

Piękna dziewczyna patrzała zdumiona na obydwóch mężczyzn.

— Co to znaczy? — zapytała.

— Ach pani, — odrzekł Walenty, — zdaje mi się, że mój pan ciężko zachorował i prosi o szklankę wody. Jeżeli jesteś miłosierną chrześcianką, nie odmawiaj mu tego!

— Jestem żydówką, — szepnęła dziewczyna — ale pomimo to jestem litościwą. Zanieś czemprędzej twego pana tam do tej altany i połóż go na kanapie, ja biegnę zaraz po wodę!

— Niech panią Bóg za to błogosławi, — zawołał Walenty, ale piękna żydówka już tego nie słyszała. Prędko jak strzała biegła do pałacu aby przynieść choremu wody.

Walenty zaniósł Henryka do wskazanej altany i położył go wygodnie na miękkiej kanapie. Henryk zupełnie był teraz nieprzytomny. Zdawało mu się, że jest w cytadeli, że kat obcina mu włosy, że go zabijają i krzyczał i rzucał się na wszystkie strony. Wypadki ostatnich dni zbyt silnie wpłynęły na jego nerwy. Wspominał też często Bilewskiego i księcia Adama i rzucał przekleństwa na zdrajcę i szpiega, barona Bondi.

— O, czemu przybyliśmy wogóle do Warszawy — wyrzekał Walenty ze łzami w oczach.—Leży on tu chory i opuszczony i nie można jeszcze wiedzieć, czy ten tyran okrutny nie każe go szukać! A cóż dopiero moja biedna pani! Zamknęli ją w domu obłąkanych, to ona też tam rozum pewnie straci! Oby się Bóg zmiłował nad nią!

W tejże chwili dał się słyszeć cichy szelest sukni — piękna żydówka weszła do altany, trzymając w ręku puhar wody z winem.

— Mówią, że żydzi źli są ludzie, — pomyślał Walenty — ale chyba żadna chrześcjanka nie postąpiłaby inaczej. Jak ta żydówka jest dobrą i litościwą! Że tu w Warszawie nienawidzą ludzie żydów, to nie dziw, bo gdzie taki Lebel panuje, tam się dobrze dziać nie może, ach, ten niegodziwy żyd! Ale ta piękna dziewczyna jest inną!

Młoda żydówka zbliżyła się tymczasem do Walentego i podała mu puhar.

— Niech się twój pan napije — rzekła — to go bardzo orzeźwi. Ale cóż to, czy on nie ma przytomności? W takim razie może trzeba posłać po doktora!

Henryk podniósł głowę i zażądał wody, żydówka odebrała więc puhar z rąk Walentego i......

— Kto to jest? — krzyknęła rzucając się na kolana. — Henryku, Henryku, nie poznajesz mnie! To on, on! Boże, jakże ci dziękuję, że mi go pozwoliłeś zobaczyć! Mój brat ocalił cię dziś od śmierci, ale on ciebie nienawidzi, a ja.... ach Henryku, otwórz oczy, przemów jedno do mnie słowo! Czy nie poznajesz twojej dawnej przyjaciółki, twojej Lei Lebel?

Walenty zadrżał słysząc to nazwisko. Wiedział on teraz, w czyim znajduje się domu i kim jest owa piękna dziewczyna wpatrująca się z taką czułością w bladą twarz jego pana!

Siostra potężnego, wszechwładnego Lebela! Na tę myśl pot wystąpił na czoło Walentego — najchętniej byłby

porwał Henryka i uciekał z nim gdziekolwiek bądź, byle wyjść z tej jaskini lwa!

Lea przeczuła widocznie, o czem Walenty myślał, bo obracając się do niego rzekła łagodnie:

— Nie bój się niczego! Twój pan jest tutaj bezpiecznym, bo chociaż mój brat jest wiernym sługą księcia, i nienawidzi twego pana, i..... może godzi na życie jego, to w tym domu nic mu się złego nie stanie. Przysięgam ci, że nad nim czuwać i pielęgnować go będę, dopóki nie wyzdrowieje. Nikt w całej Warszawie nie zajmie się nim z taką jak ja troskliwością!

Walenty schylił się i pocałował rękę żydówki.

— Jesteś pani aniołem — rzekł wzruszony. — I bądź pani pewną, że mój pan zasługuje na twoją dobroć! Jest on niewinnie prześladowany — ma dużo nieprzyjaciół...

— Wiem o tem — przerwała Lea. — Więc hrabia Orszański zostanie tutaj! Brat mój jednak nie powinien się o niczem dowiedzieć, on gotów by go zdradzić i wydać w ręce Wielkiego księcia. Jest to najlepszy w świecie człowiek, ale w polityce nie zna litości.

— Jak pani chcesz ukryć chorego bez wiedzy brata? Przecież on to musi widzieć — trzeba posłać po doktora, po lekarstwa....

— To się wszystko da zrobić! Powtarzam ci raz jeszcze, że póki ja żyję, włos z głowy twemu panu nie spadnie. Słuchaj teraz mój chłopcze, jak ci imię?

— Walenty.

— Więc słuchaj Walenty, powiem ci, w jaki sposób chcę ocalić twego pana bez wiedzy mego brata. Wiem, że uczynisz coś takiego — dodała, rumieniąc się — co mnie na całe życie uszczęśliwić może i dla czego stracę może miłość mego brata i szacunek ludzi, ale Bóg mi świadkiem, że inaczej postąpić nie mogę. Lepiej że ja zginę, niż żeby hrabia Orszański miał umrzeć z głodu i nędzy!

— Co zatem pani myśli zrobić?

— Weź twego pana na ręce, bo on sam iść nie potrafi, i zanieś go do mego pokoju. Będę go pielęgnować dniem i nocą, poślę po doktora, sama podam mu lekarstwa. Tam go mój brat nie znajdzie, nigdy bowiem jeszcze nie wszedł do mego pokoju!

— Ale to jest bardzo niebezpieczne........ — zawołał Walenty. — A służba?

— Mnie wyłącznie usługuje pewna stara kobieta, któraby wolałaby umrzeć, niż mnie zdradzić, zresztą nikt się mojemi pokojami nie zajmuje. Wychodząc, zamknę je na klucz, o to mniejsze. Biedny Henryk! Nie ma nikogo, oprócz mnie!

— Żal mi, że muszę się rozstać z swoim panem — szepnął Walenty smutnie. — I nie wiem, czy mam opuścić Warszawę i wrócić do Wiednia? Ach, jak mi będzie tęskno za moim kochanym panem hrabią!

— Nie potrzebujesz wyjeżdżać z Warszawy — zawołała Lea żywo. — Dam ci tyle pieniędzy, że będziesz mógł tu wygodnie żyć. Otóż masz — dodała, wręczając mu woreczek z złotem. — Wynajmij sobie gdzie w bliskości mieszkanie i przychódź tu raz po raz.

Walenty wziął pieniądze i schował je starannie.

— Dziękuję — rzekł z wdzięcznością, — i przyjmuję je. Wiem, że gdy mój pan wyzdrowieje, to wszystko pani rzetelnie odda! Nie będzie wprawdzie pani mógł nigdy zapłacić za twoją dobroć — za to Bóg ci zapłaci!

— Dobrze, dobrze, ja zapłaty żadnej nie żądam, jestem przecież przyjaciółką hrabiego od dawnych lat i...

Walenty ujął teraz ostrożnie w ramiona nieprzytomnego Henryka i wyniósł go z altany.

Lea szła prędko naprzód.

— Jaki rozpalony jest mój pan, — odezwał się Walenty. — Całe ciało jak w ogniu! Obawiam się, że to będzie jakaś bardzo ciężka choroba.

Lea wprowadziła go przez małe boczne schódki na drugie piętro. Nikogo tu nie spotkali. Potem wyjęła klucz z kieszeni i otworzyła drzwi swej z najwyższem zbytkiem urządzonej sypialni. Wszystko tu było jasne, lśniące czystością i niezmiernie kosztowne.

Okna tego pokoju wychodziły na ogród.

Obok sypialni znajdował się mniejszy pokój, przeznaczony widocznie na garderobę.

— Ja wejdę tam, — rzekła Lea, — a ty rozbierz hrabiego i połóż go w łóżko, potem obyślimy co dalej czynić wypada.

Kilka minut później leżał Henryk na wygodnej, miękkiej pościeli, a ubranie jego związał Walenty i wsunął za łóżko, aby nic nie zdradzało bytności jego pana.

Ale teraz poznał z przerażeniem, że stan chorego pogarszał się z każdą niemal minutą. Gorączka zwiększała się ciągle, a z suchych ust wyrywało się ciągle jedno słowo:

— „Wody! wody!“

Teraz wróciła Lea do sypialni, i ze łzami w oczach patrzała na chorego.

— Idź, — rzekła nareszcie, — na Pragę, na Bramkową ulicę Tam mieszka lekarz, żyd, Salomon Fried. Napiszę zaraz kilka słów — oddaj mu kartkę, a on natychmiast tu przyjdzie. Idź Walenty, spiesz się!

— Biegnę! Kiedy będzie mi wolno przyjść tu i dowiedzieć się, jak się miewa pan hrabia?

— Za kilka dni. Chwilowo nie przychódź, aby to nie wzudziło podejrzenia. O twego pana możesz być spokojny, gdyby się to kiedykolwiek wydało, byłabym zgubioną!

Walenty ucałował rozpalone ręce Henryka i wyszedł.

Zaledwie się drzwi za nim zamknęły, gdy Lea uklękła przy łóżku i z wyrazem najwyższej miłości wpatrywała się w piękne oblicze chorego.

—Teraz jesteś moim, Henryku, moim, szeptała. — Zdobyłam ciebie i śmierci cię wydrę, ale potem będzie i życie twoje do mnie należało. Zniosę wszystko, wstyd i hańbę — postąpiłam tak, że Samuel i cały świat potępią mnie, nikt mi nie wybaczy, że ukryłam cię w moim pokoju, ale ja inaczej zrobić nie mogłam! Nie mogłam cię zostawić samego i opuszczonego.

Potem, zerwała się, i niespokajna, biegła do okna, aby patrzeć, czy doktor Fried jeszcze nie idzie.

Była pewną, że on na wezwanie jej natychmiast pospieszy i gdyby zażądała, aby się wybrał w tej chwili w podróż naokoło świata, to on z rozkoszą nakaz jej by wypełnił. Fried kochał ją i byłby najszczęśliwym z ludzi, gdyby została jego żoną. Ale jej serce należało do innego, do tego nieszczęśliwego, który tam się rzucał w okropnej gorączce, i którego usta zwilżała od czasu do czasu zimną wodą.

— O teraz ktoś idzie po schodach — to on, doktor Fried.

Na myśl, że będzie musiała w obec niego przyznać się, że w pokoju swoim obcego ukrywa mężczyznę, pokrył twarz jej gorący rumieniec. Czuła, że zrobiła to, czego świat młodej dziewczynie nigdy nie wybacza!

Młody, piękny hrabia w jej pokoju! Jad złośliwości nie ominie jej, a ona przecież niewinna!

Lekarz pukał do drzwi — Lea zerwała się szybko i spuściła firankę nad łóżkiem.

Potem otworzyła doktorowi.

Salomon Fried był młodym, przystojnym człowiekiem, o twarzy bladej, inteligentnej. Czarna, krótko przystrzyżona broda nadawała mu dużo powagi, a jeżeli się śmiał, co się bardzo zdarzało rzadko, to dwa rzędy białych zębów błyszczało, jak dwa rzędy pereł z pod czarnego wąsa.

— Jesteś pani bladą — szepnął ujmując jej rękę w gorącym uścisku. — Kazałaś mi przyjść jak najprędzej... czy nie czujesz się zupełnie zdrową?

— Nie — odrzekła Lea, — ja jestem zdrową! Ale... siadaj pan, widzę, żeś biegł prędko i że jesteś zmęczony.

— Nie myśl pani o mnie, powiedz mi raczej, kto tu chory, kto potrzebuje mojej pomocy? Brat zdrów przecież, widziałem go jadącego do zamku. Więc jeżeli on zdrów i pani także, to któż jest chory tutaj?

Lea stała drżąca, blada, nie wiedząc, jak mu powiedzieć prawdę. I była tak piękna w tej chwili, tak uroczą, że Fried stracił panowanie nad sobą.

— Leo, — zawołał namiętnie, biorąc jej rękę, — jesteśmy sami! Po raz pierwszy! Nie ma tu twego zazdrosnego brata, nikt nam nie przeszkadza.... Leo, ja kocham ciebie całą siłą mej duszy! Nie odwracaj się odemnie, wybacz mi, ale raz przecież musiałem ci to powiedzieć! Leo najdroższa, chcesz być moją żoną?

Ach, czemu dziś właśnie wyznał jej ten szlachetny człowiek swoją miłość! Dziś, kiedy chciała poprosić o pomoc dla tego, który jej był tak drogim, droższym, niż świat cały, niż życie!

I stała zmieszana, milcząca, Fried zaś uniesiony miłością, trzymał jej ręce i mówił dalej:

— Jedno słowo tylko, jedno słowo — a będę najszczęśliwszym z ludzi! Wiem, że twój brat ma inne zamiary co do twego zamąż pójścia, on chce, abyś została żoną jakiego

wysokiego urzędnika lub arystokraty, ale jeżeli ty mnie kochasz, jeżeli chcesz być moją, to zwyciężymy wszelkie przeszkody! Będąc pewnym twego serca będę walczył z twoim bratem i zdobędę ciebie!

W tejże chwili jęknął Henryk z za firanki.

— Wody! Wody!

Fried przerażony cofnął się.

— Co to, na Boga? — zawołał, — Czy nie jesteśmy tu sami? Ach, to tam znajduje się ów chory, do którego mnie przywołałaś! Zobaczę zaraz, kto mnie potrzebuje!

— Czekaj pan, — szepnęła Lea, — muszę ci najpierw całą prawdę wyznać!

— Więc to jakaś tajemnica! Niech będzie co chce, ja pani nie zdradzę!

— Dziękuję, oh, dziękuję panu z całego serca za to! Powiedziałeś mi przed chwilą, że mnie kochasz, a gdzie jest miłość, tam i szacunek być musi, nie prawda? Nie zwątpisz pan więc o mojej uczciwości, jeżeli ci wyznam, że tam, za firanką znajduje się rzeczywiście ktoś chory.....

— Kto?

— Pewien młody — mężczyzna — Polak —

Śmiertelna bladość pokryła twarz Frieda.

— Pani — Lea — ukrywasz w swoim pokoju mężczyznę, — zawołał.

— Tak, ale on jest chory i potrzebuje twojej pomocy, — odrzekła Lea śmiało. — Nie odmówisz jej przecież nieszczęśliwemu, dla tego, że ja go kocham? Nie, tyś zanadto szlachetny i wspaniałomyślny, mój drogi, jedyny przyjacielu! Na twem sercu nikt się nie zawiedzie!

— Masz pani słuszność, — szepnął Fried, — nie odmawiam nikomu pomocy..... Uczynię wszystko, co mogę aby go uleczyć. Ale muszę ci wyznać, że zraniłaś okrutnie moje serce. On będzie ocalony — mnie zabijasz......

— O Boże, — zawołała Lea ze łzami w oczach, — nie mów pan tak, nie moja przecież wina, że pokochałam innego! Któż może sercu rozkazywać!

— Niestety, wiem o tem! Lecz teraz dosyć o tem. teraz jestem tylko już lekarzem, który z śmiercią będzie walczył o życie człowieka! Odsuń pani firanki!

Lea wykonała natychmiast życzenie Frieda, który zbliżył się do łóżka, i pochylony nad chorem, zaczął go badać.

W pokoju głębokie zapanowało milczenie. Lea stała przy oknie, patrzała bezmyślnie na drzewa i straszne znosiła męki — od słów Frieda zależeć będzie, czy jest ratunek dla Henryka! Ach, jak ona go kochała! Jak chętnie byłaby cierpiała za niego!

Fried skończył badanie.

— Jakże z chorym, — spytała Lea siląc się na spokój, — czy wielka gorączka — jest nadzieja — o, powiedz mi pan, nie męcz mnie dłużej!

— Czy brat pani wie, że ten chory znajduje się tu — w jego domu — w pani pokoju? — rzekł Fried poważnie.

— Mój brat? Na miłość Bozką, zkądżeby on miał o tem wiedzieć! Nikt nie wie, i nie dowie się nigdy, że ukrywam u siebie hrabiego Orszańskiego!

— Co, więc ten chory jest owym hrabią Henrykiem Orszańskim, który przed kilku godzinami w tak cudowny sposób uszedł śmierci z ręki kata?

— Tak, to on, nieszczęśliwy, pożałowania godny! — zawołała Lea i gorące łzy spłynęły po jej bladej twarzy.

— Nie może być!

— A jednak tak jest! Wielki książę nienawidzi go, mój brat to samo, — ze wszystkich stron grożą mu niebezpieczeństwa! Nie ma on ani domu, ani przyjaciół — tylko ja sama opiekuję się nim! I pan go też nie opuścisz, nie odmówisz mu swej litości, nieprawdaż?

— Nie, przeciwnie, zajmę się nim z całą gorliwością, ale.....

— Ale co?

— Nie mogę pani zataić, — rzekł Fried przytłumionym głosem, — że pani popełniłaś wielką nieostrożność, biorąc tego chorego do swego pokoju!

— Czemu? Ja go ukryję, nikt się o nim nie dowie!

— Nie o to chodzi!

— Więc o cóż.

— *Straszne niebezpieczeństwo grozi tobie i całemu domowi, hrabia Orszański ma — dżumę!*

ROZDZIAŁ XVII

Czarna śmierć

Lea stała przez chwilę jak skamieniała. Była przygotowaną na złą wiadomość, ale to, co usłyszała było wprost przerażającem. Słowo „dżuma" było dla niej prawdziwem uderzeniem piorunu, które człowieka pozbawia przytomności i odbiera mu na dłuższy czas władzę myślenia.

Dżuma, zaraza, morowe powietrze lub czarna śmierć — tak nazwano ową straszną chorobę, która jak huragan przechodziła przez wszystkie kraje, zostawiając po sobie tysiące trupów. Ludzie umierali w najokropniejszych męczarniach, padali jak muchy w domach, na ulicach, w kościołach, a było tyle umarłych, że grabarze nie mogli wydążyć z kopaniem grobów. Przygotowywano więc ogromne doły i rzucano w nie setki ciał, oszpeconych czarnemi plamami.

W owym czasie szerzyła się znów zaraza, po całej niemal Europie. WojnyNapoleona przyczyniły się niezmiernie do tego ,wyziewy krwi, nędza i głód wywoływały straszną tę chorobę. Czego nie spustoszyła i wyniszczyła wojna, to padło ofiarą czarnej śmierci.

Mówiono, że dżuma została przyniesioną z Egiptu przez francuzkich żołnierzy, bo ztamtąd rozszerzyła się ona także na sąsiednie kraje i doszła nawet aż do Persji.

Pierwszy raz wybuchła choroba ta w r. 1803 na Malcie, w r. 1815 była już we Włoszech, potem w Grecji i Siedmiogrodzie. I od tego czasu grasowała ciągle w Europie, mianowicie w Rosji. Wymierały tam wsie i miasteczka, na polach leżały niepochowane trupy. Zdrowi uciekali i zostawiali chorych bez opieki, rodzice opuszczali dzieci, dzieci rodziców — nie było nigdzie schronienia i bezpieczeństwa przed tą nagłą i okropną chorobą i śmiercią.

Fried i Lea stali przez chwilę w milczeniu, młoda dziewczyna była tak przerażoną, że słowa wymówić nie mogła. Nareszcie zbliżył się Fried do niej i ujął jej rękę.

— Odwagi! — szepnął.

— Ach! — jękła Lea — to być nie może, co pan powiedziałeś! Omyliłeś się zapewne!

— Dałby Bóg, aby tak było, jak chętnie przyznałbym się do omyłki! Ale niestety, znaki choroby są zbyt widoczne. Na ciele chorego widać już tu i owdzie plamy, jest on już przynajmniej od pięciu dni chory. Może być, a nawet jest prawdopodobnem, że poprzednik jego w cytadeli miał tę okropną chorobę — w tych jamach podziemnych szerzy się zaraza z przerażającą szybkością, cóż więc łatwiejszego, jak się tam zarazić! Dla więźniów nie wołają lekarzy — ci nieszczęśliwi umierają bez wszelkiej pomocy!

— Boże! Boże! — powtarzała Lea załamując ręce.

— Muszę więc raz jeszcze powiedzieć, że hrabia Orszański ma dżumę i zwracam pani uwagę na to, że każdy, kto się do takiego chorego zbliża, naraża się na tę samą chorobę. Zważywszy na to niebezpieczeństwo proszę panią usilnie — każ wynieść chorego z tego domu! Jako lekarz mam obowiązek i prawo nakazania ci tego! Wszyscy mieszkańcy domu mogą się zarazić!

Ale młoda dziewczyna ani słuchać o tem nie chciała.

— Nie — rzekła stanowczo — hrabia Henryk Orszański zostanie tu, dopóki nie wyzdrowieje, albo dopóki.....

Łzy nie pozwalały jej mówić dalej.

— Namyśl pani się....

— Ja miałabym opuścić tego nieszczęśliwego teraz właśnie, gdy najwięcej mojej potrzebuje opieki? Miałabym go wyrzucić na ulicę albo oddać do szpitala? Ach, pan sam nie wierzysz w to, co mówisz! Ja kocham go i albo z nim żyć będę, albo też umrę z nim razem!

— O, jakże zazdroszczę hrabiemu Orszańskiemu — szepnął Fried. — Pomimo, że on jest prawie umierający, pomijałbym się z nim chętnie!

— Powiedz mi pan teraz zupełnie szczerze i otwarcie: czy ratunek jest możliwym albo czy choroba ta kończy się zawsze śmiercią?

— My lekarze liczymy na sto wypadków śmierci jeden wyzdrowienia, ale i to może jeszcze za wiele! Chwilowo nie mogę jeszcze osądzić, czy hrabia Orszański oprze się chorobie. Przesilenie następuje szóstego dnia — jeżeli będzie dosyć silnym, aby wytrzymać gwałtowną gorączkę, to możemy wtedy mieć cień nadziei. Widzę, że pani nie odstąpisz od swego zamiaru pielęgnowania chorego, a że znajdziesz we mnie sumiennego pomocnika, przeto miejmy w Bogu ufność, że nasz pacjent żyć będzie. Przyjdę kilka razy dziennie, pierwszych kilka nocy przepędzę także tutaj i przyniosę zawsze wszystkie potrzebne lekarstwa. Tym sposobem nie dowie się brat pani o niczem. On umarłby ze

strachu, wiedząc, że chory na dżumę znajduje się w jego domu!

— O, jakże panu wdzięczną za wszystko jestem! Dziękuję ci także serdecznie w imieniu chorego za to, co dla niego czynisz! Niech ci Bóg wynagrodzi twoją dobroć!

— Wypełniam tylko powinność lekarza — odrzekł Fried smutnie — a zresztą wiem, jak on ci drogim jest. Będę walczył o jego życie, i co tylko wiedza i wytrwałość zdziałać mogą, to się stanie, aby go uzdrowić.

Po tych słowach pożegnał Fried Leę i wyszedł.

Młoda dziewczyna została sama z chorym.

Jakiej szalonej potrzeba było odwagi do pielęgnowania tak niebezpiecznie chorego! Każdej chwili można się było zarazić dżumą i to nie tylko siebie, ale wszystkich mieszkańców domu.

Lea narażała własne życie dla ocalenia ukochanego, a poświęcała się chętnie. Wypełniała tym sposobem najwyższe przykazanie Bozkie co do miłosierdzia i litości.

Henryk tymczasem stawał się coraz to słabszym, a Lea drżała ze strachu o niego. Zdawało jej się ciągle, że już śmierć nadchodzi i wtedy rozpacz ją ogarniała najgłębsza.

Fried przyszedł nad wieczorem, przyniósł lekarstwo i wlał kilka łyżek choremu w usta.

— Jak pan myślisz? — szepnęła Lea, — Czy on będzie żył?

— Tego obecnie jeszcze wiedzieć nie mogę — odrzekł Fried wzruszając ramionami. Dżuma jest chorobą wobec której jesteśmy bezsilni — ile razy zdaje nam się, żeśmy ją zwyciężyli, tyle razy odzywa się z podwójną gwałtownością. Gdy myślimy, że chory nieco zdrowszy, pojawia się nieubłagana śmierć i wyrywa nam go z rąk.

— Zostaniesz pan tu dzisiaj?

— Tak — będę czuwał nad nim, ale pani udasz się na spoczynek!

— Czy pan myśli, że ja mogłabym spać, wiedząc, że Henryk może każdej chwili umrzeć?

— Więc zostaniemy tu oboje!

I tak siedziało przy łóżku chorego dwoje tych ludzi, Lea, nie wiedząc nawet, czy chory przypomina ją sobie jeszcze, i Fried, przekonany, że z chwilą, w której ocali życie choremu, straci na zawsze tę, którą ukochał nad wszystko w świecie.

Siedzieli od wieczora aż do rana, nie spuszczając oczu z nieszczęśliwego, i gdy jutrzenka zabłysła na niebie mieli przynajmniej tę pociechę, że zdołali śmierć na kilka godzin usunąć.

Ale noc ta była okropną.

Henryk rzucał się na łóżku tak, że Fried ledwie go utrzymać zdołał. Chciał uciekać, zrywał się, przywoływał Bilewskiego i księcia Adama i przeklinał wszystkich Moskali. Potem wspominał Teresę, a wymawiał jej imię z taką czułością, taką tęsknotą, że Lea byłaby musiała być głuchą i ślepą, gdyby nie była poznała, że owa Teresa bardzo mu drogą być musiała!

Ale kto to był? Henryk mówił ciągle o niej, obraz jej stał mu widocznie zawsze przed oczami, i z jej imieniem na ustach chciał umrzeć.

Lea straszne znosiła męki zazdrości.

Nad ranem odszedł Fried, zachowując jak największą ostrożność, aby go kto nie widział. I Lea także musiała teraz odgrywać trochę komedyi. Codziennie musiała jeść z bratem śniadanie — potem była wolną aż do obiadu. Rodzeństwo widywało się zwykle tylko przy stole, ale wtedy musiała być Lea bardzo punktualną, bo Samuel chciał wyzyskać każdą chwilę, którą mógł przepędzić z ukochaną siostrą. W jej towarzystwie był on wesoły, uprzejmy, serdeczny, i widząc go żartującego i śmiejącego się z Leą niebyłby nikt przypuszczał, że ten sam człowiek wydawał godzinę później, z zimną krwią wyroki śmierci na niewinnych, i wymyślał najrozmaitsze męki dla nieszczęśliwych więźniów.

Gdy Lea schodziła na dół, zostawiała przy chorym swoją starą, zaufaną sługę, drzwi jednak zamykała na klucz z obawy, aby ktoś inny ze służby nie wszedł przypadkiem do jej pokoju.

Henryk i nazajutrz nie umarł jeszcze, ale gorączka nie ustępowała i Fried zaczynał wątpić o uratowaniu chorego.

Na usilne prośby młodego lekarza przygotowała sobie Lea posłanie w garderobie i udawała się co noc na parę godzin na spoczynek, ale ledwie się zdrzemnęła, budził ja każdy jęk chorego, i wtedy zrywała się i biegła zaraz do niego.

I ku niezmiernej swej rozpaczy słyszała za każdym razem, jak Henryk wzywał Teresy, jakiemi słowami najczulszej miłości wspominał jej imię.

— On kocha inną, — powtarzała sobie ze łzami, — i ona kocha go także, a ja.... Ach, o mnie wcale on nie myśli, nie wie nawet, że istnieję jeszcze na świecie! Ale ja nie mogę oddać go innej — nie mogę! Wolałabym, aby umarł, niż aby mi go inna wydrzeć miała!

Wracała potem do swego pokoju, płakała, załamywała ręce, i znów prosiła Boga, aby dał życie Henrykowi, czuła bowiem, że gdyby on umarł, to i ona musiała by umrzeć.

— Niech już będzie z inną szczęśliwy, — modliła się gorąco, byleby żył!

Choroba trwała już blizko tydzień. W pokoju Lei zacięta toczyła się walka o życie i śmierć, zdawało się, że żadna nie chce ustąpić strona. Ciało Henryka pokryte było czarnemi plamami i wrzodami, gorączka do ostatnich dochodziła granic. Siódmej nocy siedział znów Fried z Leą przy łóżku chorego i starali się wszelkiemi sposobami ulżyć nieco, jak sądzili — umierającemu.

O północy przymknął Henryk oczy i leżał, jak martwy.

Lea rzuciła się na kolana i gorąco się modliła. Nie wiedziała już, czy wzywa Boga ojców swoich, czy Boga chrześcijan — to jedno tylko było jej jasnem, że musi się stać cud, i że Bóg jej tej łaski nie odmówi.

— Zdaje mi się — odezwał się teraz Fried — że śmierć się zbliża. Uczyniłem wszystko co mogłem, ale daremnie. I wiesz pani — dodał ciszej, — że trzeba nam zaraz ułożyć plan wyniesienia ciała z domu. Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli zawinę je w płótno zwilżone chlorem, potem spuścimy je na sznurach oknem, do ogrodu, a tam czekać już będzie dwóch pomocników grabarza z trumną i zaniosą umarłego na cmentarz. O pogrzeb ja się jutro postaram, sprowadzę księdza i załatwię wszystko co potrzeba!

— Ach — zawołała Lea płacząc — nie mów pan tak — ja nie wierzę, aby on miał umrzeć! Ratuj go!

I na wpół przytomna, rzuciła się na kolana przed Friedem i objęła jego kolana. Fried zadrżał, i odsuwając ją lekko, rzekł:

— Wstań pani! Serce mi się kraje na widok twej rozpaczy, ale ja pomódz już nie mogę!

W tejże chwili dało się słyszeć w ogrodzie przeciągłe gwizdnięcie, raz jeden i drugi.

— Co to znaczy? — zapytał Fried.

— To Walenty, wierny sługa Henryka przychodzi zapytać się o zdrowie jego — odrzekła Lea. — O Boże, co ja mu powiem! Czy mam prawo wzbronienia mu pożegnania swego pana? Dotychczas nie powiedziałam mu prawdy — Walenty myśli, że pan jego ma tylko gorączkę, ale że ma dżumę......

— Nie, tego mu pani powiedzieć nie możesz — przerwał Fried żywo — to musi pozostać naszą tajemnicą. Bo gdyby się rozgłosiło w mieście, że leczyłem tu potajemnie kogoś, mającego straszną tę chorobę, to byłbym zgubiony, nietylko jako lekarz, ale jako człowiek. Mieszkańcy Pragi ukamienowaliby mnie za to, że zbliżałem się wogóle do zadżumionego, a ja przecież inaczej postąpić nie mogłem, pani sama najlepiej wiesz o tem! Nie mogłem odmówić twej prośbie!

— Wiem, wiem, szlachetny mój przyjacielu — zawołała Lea.

Potem pobiegła do okna, otworzyła je i wychylając się rzekła do stojącego na dole Walentego:

— Walenty jesteś tam?

— Tak pani — odpowiedział wierny sługa. — Niepokoiłem się bardzo o mego pana.... Lepiej mu? Czy gorączka jeszcze nie ustąpiła?

— Nie! Hrabia bardzo jest słaby — szeptała Lea, dławiąc się łzami, — tak słaby, że kto wie, czy — dożyje do jutra rana!

— Więc mój pan umrze — jęknął Walenty, załamując ręce — ach, to być nie może! W takim razie i ona tego nie przeżyje! O Boże, jakie nieszczęście!

Teraz mogła się Lea dowiedzieć nazwiska tej, którą Henryk tak często wspominał. I znów odezwała się zazdrość w jej sercu. Wychylając się jeszcze więcej, zapytała cicho:

— Kto jest ta — ona?

— Ah, nie wiesz pani? Nie powiadał ci mój pan o swej pięknej narzeczonej?

— Narzeczona! Boże!

Walenty nie widział, jak dzikim ogniem zajaśniały łagodne zwykle oczy pięknej żydówki, i jak ostro zacisnęły się jej białe, delikatne ręce.

— Jak się nazywa narzeczona hrabiego? — zapytała, usilując zapanować nad sobą.

— Krones! Panna Teresa Krones, śpiewaczka ludowa z Wiednia!

— Ah, ona!

Lea dosyć już wiedziała. Słyszała tyle o Teresie — i będąc w Wiedniu, chodziła nawet sama na jej występy, zachwycając się razem z innymi głosem i pięknością śpiewaczki. To też była przekonaną, że z taką rywalką walczyć nie może, i że nigdy w życiu nie zdobyłaby serca Henryka!

A pomimo to — w tej chwili odezwała się w Lei żydowska krew i żydowska natura: chciała koniecznie zatrzymać to, czego tak gorąco pragnęła, zatrzymać na wyłączną własność, bez względu na innych. Wiedziała, z kim musi walczyć o posiadanie Henryka i postanowiła nie ustępować!

— Nie, — pomyślała, przyciskając ręce do gorącego czoła, — jeżeli Henryk żyć będzie, to moim być musi. Co Teresa Krones uczyniła dla niego? Zdobyła go sobie swoim śpiewem, swoją pięknością, ale nie pielęgnowała go w tej strasznej chorobie tak jak ja i nie wydarła go śmierci! Ja mam prawo do niego, nikt inny! Ona może pokochać innego, wszakże dosyć ma wielbicieli, których jeden jej uśmiech nad wyraz uszczęśliwia, a ja — ja mam tylko tego jednego, jedynego, i miałabym go oddać dobrowolnie innej? Nigdy, nigdy!

— Ja tu zostanę w ogrodzie aż do rana, — odezwał się Walenty, — schowam się w altanie, aby mnie nikt nie zobaczył. Ale nie opuszczę już mego pana i co godzinę przyjdę się zapytać, czy nie lepiej!

Lea cofnęła się teraz od okna i chciała je zamknąć.

— Nie zamykaj pani, — szepnął Fried, — uczyniłem w tej chwili dziwne spostrzeżenie. Zdaje się, że świeże powietrze zbawienny wywiera wpływ na chorego!

I tak było rzeczywiście.

Gdy Lea otworzyła okno, wpłynął prąd chłodnego powietrza do pokoju i Henryk otworzył oczy. Oddech jego stał się równiejszy i usta poruszyły się, jak gdyby się rozkoszowały chłodem i świeżością.

— Wiesz pani, — zaczął Fried po krótkim namyśle, — że trzeba nam się odważyć na coś niezwykłego!

— I na cóż to?

— Nie mamy nic do stracenia — a jeżeli chory ma żyć, to trzeba wszystkiego próbować. Biorę zatem wszelką odpowiedzialność na siebie!

— Ale co pan chcesz zrobić?

— Zobaczysz pani! Pomóż mi przedewszystkiem zawinąć chorego w kołdrę!

Lea nie wiedząc o co chodzi, wykonała natychmiast jego życzenie.

— A teraz pomóż mi go pani wziąść na plecy!

— Boże Wielki, gdzie go pan chcesz zanieść?

— Do ogrodu! Niech tam oddycha balzamiczną wonią roślin, może to go uleczy. Moja umiejętność na nic się już przydać nie może, spróbujmy tego ostatniego środka. — Jeżeli ma umrzeć, niech umrze w ogrodzie, to na jedno wyjdzie!

— Zawołam Walentego, — szepnęła Lea.

— Tak! Obawiam się jednak, że sam nie będę go mógł przenieść!

Lea pobiegła znowu do okna, Walenty stał tam jeszcze.

— Pójdź, — zawołała, — pomożesz nam twego pana przenieść do ogrodu!

Kilka sekund później był Walenty na górze. Lea sama otworzyła drzwi i wprowadziła go do pokoju.

Ale zanim poczciwy chłopiec zbliżył się do łóżka, ujął Fried jego rękę i rzekł poważnie:

— Kochasz twego pana tak, że naraziłbyś życie dla niego?

— Bez namysłu!

— Ale musisz wiedzieć, że jedno dotknięcie chorego może cię nabawić choroby, i to okropnej choroby! Hrabia Orszański ma dżumę!

— W takim razie wiecej jeszcze potrzebuje mojej pomocy, — odrzekł Walenty i wziął natychmiast chorego, jak dziecko, na ręce. Lea szła za nim.

Fried zabrał poduszki i tak udali się wszyscy do ogrodu, do altany, w której złożono Henryka na kanapie.

— Medycyna, — rzekł Fried, patrząc uważnie na twarz chorego, — nie zna jeszcze środka na chorobę hrabiego, ale przyroda ma tajemnicze i cudowne nieomal siły, których my ludzie dotąd używać nie umiemy. Świeże, wonne powietrze wiosenne ocali może naszego pacyenta!

Głęboka cisza panowała w ogrodzie Lebela.

Spał on mocno i nieprzeczuwał, co się w jego domu działo. Tam w altanie leżał ciężko chory nieprzyjaciel jego, a ukochana siostra czuwała nad nim z rozpaczą i nadzieją w sercu, zapominając o całym świecie.

Fried trzymał rękę chorego i badał puls.

Wszyscy milczeli.

— Puls idzie spokojniej, — zawołał nagle Fried, — gorączka zmniejsza się! Zaczynam mieć nadzieję!

Lea upadła na kolana i zaczęła się modlić.

I znów po upływie godziny odezwał się Fried z głębokiem westchnieniem:

— Zwyciężyliśmy! Przesilenie nastąpiło, chory śpi! Ale teraz musimy go znowu zanieść na górę. Zbyt długi pobyt w ogrodzie mógłby mu zaszkodzić!

Walenty wziął go znowu w swe silne ramiona, i kilka minut później leżał Henryk w łóżku, pogrążony w głębokim śnie. Fried stwierdził także, że lekki pot występuje mu na czoło, co było nieomylnym dowodem polepszenia.

— Można doprawdy powiedzieć, że cud się stał, — zawołał Fried nad ranem, gdy promienie wschodzącego słońca oświeciły pokój chorego. — Hrabia Orszański zwyciężył czarną śmierć, i będzie żyć!

— Żyć — dla mnie, — szepnęła Lea.

Potem poszła do swego pokoju, i rzuciwszy się na łóżko, głośnym wybuchnęła płaczem.

— Żyć — dla mnie, — powtarzała ciągle. — Ach, gdyby tej Teresy Krones nie było na świecie!

ROZDZIAŁ XVIII.

Śmiertelna obelga.

Cztery tygodnie minęły od owych okropnych dni, a Henryk znajdował się zawsze jeszcze w domu Lebela, w pokoju pięknej Lei. A przecież był już zdrów zupełnie i mógł od dawna opuścić dom swego wroga.

Fried jednak nie pozwolił mu jeszcze wychodzić. Uczynił on to jedynie na prośby Lei, która czuła dobrze, że skoro Henryk raz ztąd odejdzie, będzie dla niej na zawsze stracony. Z pomysłowością więc kochającego serca wyszukiwała coraz to nowe powody i przekonywała Frieda o słuszności swoich twierdzeń. Była przekonaną, że gdy Henryk opuści jej dom, pojedzie natychmiast do Wiednia, do swej narzeczonej, bo nie miała wyobrażenia o tem, że nieszczęśliwa Teresa znajduje się w domu obłąkanych!

Henryk szybko wracał do sił, tylko twarz jego bardzo jeszcze była bladą. Ale to go nie szpeciło, przeciwnie nawet — Lea była pewną, że on nigdy tak pięknym nie był, jak właśnie teraz!

Henryk nie miał pojęcia jakim sposobem znalazł się w domu Lebela i trudno mu było uwierzyć, że Walenty przyniósł go tu prawie umierającego. Od chwili, w której został sam na placu stracenia, nie pamiętał nic, co się z nim działo.

Tem większą była jego wdzięczność, gdy się zwolna, głównie zaś od Walentego, dowiedział, co Fried i Lea uczynili dla niego! Wiedział, że nigdy im tego długu wdzięczności nie odpłaci. Zajęli się nim tak starannie podczas kiedy inni byliby z odrazą od niego uciekli — dla niego narażali się na najokropniejsze niebezpieczeństwo, pomimo, że on przecież prawie im był obcym! Leę przypominał sobie wprawdzie dokładnie, ale Frieda nie znał wcale.

We wsi rodzinnej Henryka dzierżawił ojciec Lei karczmę, a małe wówczas żydzięta przychodziły często do muru parku i zaglądały ciekawie, jak się panicz bawi. Różnica w wieku znaczną pomiędzy niemi była, Samuel znacznie od Henryka starszy, pilnował zawsze swej małej siostrzyczki i uważał, aby jej panicz jakiej nie wyrządził krzywdy. Ale Henryk zbyt łagodny i dobroduszny, wprowadzał żydzięta do ogrodu, dawał im kwiaty, owoce, i po-

wolał nawet czasem jeździć na kucyku, którego mu ojciec podarował.

Nie trwało długo, a Samuel i Lea codziennymi byli w pałacu gośćmi, ale podczas kiedy Samuel siedział w bibliotece i czytał książki, biegał Henryk z Leą po ogrodzie i bawił się z nią wesoło.

Potem skończyła się ta przyjaźń — stary hrabia Orzański przeniósł się do swego zamku w Tatrach i zabrał Henryka ze sobą.

Henryk nie myślał o Lei, i nie wiedział wcale, że to siostra owego Lebela, który umiał pozyskać do tego stopnia zaufanie i łaski Wielkiego księcia, że nawet rządy za niego sprawował.

Nigdy jeszcze nie żałował Henryk utraty swego majątku tak bardzo, jak teraz. Gdyby miał dawniejsze miliony, mógłby inaczej niż słowami, podziękować Lei za jej dobroć i opiekę.

Wobec Frieda czuł się także bardzo krępowanym, bo i jemu nie mógł się niczem odwdzięczyć. Męczył go również długi pobyt w domu Lebela, a mianowicie to, że był tu w tajemnicy przed właścicielem i panem domu. Bawił w mieszkaniu człowieka, o którym wiedział, że jest jego wrogiem, i którego każdy uczciwy człowiek przeklinał.

I ze stołu tego tyrana musiał jeść codziennie — Lea przynosiła mu potajemnie najwyszukańsze przysmaki i najdroższe wina. Służba dziwiła się nieraz, skąd ta młoda dziewczyna ma nagle taki apetyt, i to zwykle wieczorem! Przy stole jadła wprawdzie bardzo mało, ale za to potem kazała swej starej służącej przynosić do swego pokoju wszystko, co z kolacyi zostawało. Nawet po wino do sklepu posyłała codziennie.

Brat zaniepokoił się tem dziwactwem siostry.

— Czy ty jesz i pijesz w nocy? — pytał troskliwie.

— Tak, wtedy smakuje mi najlepiej!

— Ale to niezdrowo! Trzeba posłać po Frieda! Może jesteś nie zupełnie zdrową ,może masz blednicę.....

— Ach nie! Czuję się zupełnie dobrze, a czy jem we dnie czy w nocy, to przecież wszystko jedno, bylebym jadła!

— Masz słuszność — uśmiechnął się Lebel — jedz więc kiedy masz apetyt!

— Ach, gdyby on był przeczuwał, kto zjadał jego bażanty i pasztety, kto pił jego najdroższe wina!

Lebel unosił się łatwo strasznym gniewem i wtedy nie wiedział co robił. Gwałtowność jego nie znała granic, a wszystko, co mu w drogę wchodziło, miażdżył bez litości.

Lea drżała czasem na myśl, co by się działo, gdyby brat jej dowiedział się prawdy, ale pomimo to, trzymała Henryka wszelkiemi sposobami i nie chciała go się wyrzec.

Henryk zaś pragnął przedewszystkiem dawne odzyskać siły. Jeżeli zamierzał ratować Teresę, to musiał być mocnym i musiał jasno myśleć, aby ułożyć cały plan uwolnienia jej. Obraz ukochanej nie opuszczał go ani na chwilę, i podczas kiedy inny byłby może uległ urokowi pięknej Lei, to Henryk nawet na piękność jej żadnej nie zwracał uwagi. Czuł dla niej wielką wdzięczność i sympatją i na tem kończyło się wszystko.

Ale jak strasznie cierpiał na myśl o jej okropnem położeniu! Jakie ona tam męki musiała znosić, a on chwilowo nic jeszcze uczynić nie mógł, aby spieszyć jej na pomoc! To jedno tylko wiedział o niej, że żyje, wiadomość tę przyniósł mu Walenty.

Wierny ten sługa, wiedząc, jak wielką radość sprawi swemu panu, chodził całemi dniami koło domu obłąkanych i raz udało mu się zobaczyć Teresę — na czwartem piętrze, za małem okienkiem, zabezpieczonem grubą żelazną kratą!

Chciał się dać poznać nieszczęśliwej, chciał wołać — ale okno zbyt leżało wysoko — Teresa nie byłaby cichego usłyszała wołania, a głośno krzyczeć nie mógł. Do domu samego wejść nie śmiał, lękał się bowiem, aby go zaraz do innej nie wsadzono celi.

W każdym razie Teresa żyła i to na razie było najważniejsze.

Henryk zaczął w myśli układać plany wybawienia jej z tego piekła.

Czemu Fried nie pozwalał mu opuścić domu Lebela? Przecież czuł się już zupełnie zdrowym i silnym i drżał z niecierpliwości odzyskania wolności.

Wkrótce wyjaśniło mu się wszystko.

Ponieważ we dnie nie mógł się przechadzać po ogrodzie, i wogóle z pokoju na krok się nie ruszać, przeto kazał mu Fried wychodzić w nocy i oddychać przez kilka godzin świeżem wiosennem powietrzem. Lea towarzyszyła mu zwykle i zwykle udawali się do altany, w której przed kilku tygodniami złożył Walenty swego ciężko chorego pana. Siedzieli tam naprzeciwko siebie, rozmawiali i marzyli, o świetle księżyca, innego światła bowiem zabierać tu nie mogli.

Rozmowa ich toczyła się najczęściej o wspólnych latach dziecięcych, gdy razem bawili się w parku i na łąkach. Lea pamiętała doskonale każde nieomal słowo, każdy najdrobniejszy szczegół tych zabaw i dziwiła się, że Henryk o wszystkiem już zapomniał.

Dzisiejszego wieczora wyszedł Henryk sam do ogrodu i rzuciwszy się na kanapę w altanie, w głębokich pogrążył się myślach. Marzył o Teresie i liczył dni aż do czasu, w którym ją uwolni.....

Potem oparł głowę o poduszki i — usnął.

Nagle jednak zbudził go szelest sukni kobiecej — Lea weszła do altany.

Henryk nie otworzył oczu, nie ruszył się, był dziwnie zmęczony i nie miał ochoty do rozmowy. Myślał, że Lea, uważając go za śpiącego, wróci na górę.

Ale w następnej chwili pochyliła się Lea nad nim i przycisnęła usta swoje do jego ust w gorącym pocałunku.

Henryk zerwał się i odepchnął dziewczynę.

— Cóż to, co robisz, Leo! — zawołał zdziwiony.

Zdawało się, że Lea zemdleje. Zachwiała się, wyciągnęła ręce, potem rzuciła się ku drzwiom, jak gdyby uciekać chciała, i w końcu wróciła dumna, harda i stanęła przed Henrykiem.

— Pocałowałam cię — zaczęła ,a w głosie jej drżała tłumiona namiętność — pocałowałam cię, bo kocham cię, bo żyć bez ciebie nie mogę!

— Ależ Leo kochana — rzekł Henryk łagodnie — mylisz się pewnie co do twoich uczuć. Znasz mnie od dawna, jesteś do mnie przywiązaną, jak do brata, i zdaje ci się, że mnie inaczej kochasz! Nie powinnaś nigdy już mówić coś podobnego, słyszysz?

— Czemu ja ciebie nie mam kochać? Przecież i ja mam serce — ciebie zaś kocham od chwili, w której cię jako dziecko ujrzałam!

— Biedna Leo! Ty mnie kochasz, a ja — innej już oddałem serce! — szepnął Henryk.

I teraz dopiero przyszło mu na myśl, w jak dziwnym stosunku on przez wszystkie te tygodnie stał do niej. Żyli pod jednym dachem, byli ciągle razem — Lea zaś mieszkała w przyległym pokoju, którego drzwi lekko były zawsze zasunięte. Słyszała ona każde słowo, jakie w gorączce wymówił, jak wspominał Teresę..... Ach, jak ona cierpieć musiała.....

Młoda dziewczyna opierała głowę o drzwi i głośno płakała.

— Leo — zawołał Henryk, gładząc czule jej czarne włosy, — uspokój się, nie płacz! Droga Leo, usiądź obok mnie, ja ci wszystko wytłumaczę — a mianowicie, dla czego nie mogę ci się odpłacić wzajemnością....

— Wiem, bo kochasz inną—przerwała żydówka gwałtownie. — Kochasz Teresę Krones, do niej ci spieszno, dla tego chcesz, jaknajprędzej opuścić nasz dom. Ale przysięgam ci — w chwili w której odejdziesz stąd aby nigdy już nie wrócić, ja odbieram sobie życie. Wtedy powiedz sobie, że na to uratowałam twoje życie, aby poświęcić moje!

Henryk milczał. Byłby dał Bóg wie co za to, gdyby go Lea nie kochała — to jedno tylko pocieszało go, że on umyślnie tej miłości w jej sercu nie wzbudził, że się o nią wcale nie starał.

I postanowił sobie nieodwołalnie, że jutro rano opuści ten dom. Nie mógł on być dłużej w blizkości tej dziewczyny — już przez sam wzgląd na Teresę musiał ztąd uciekać.

Może być, że głos jakiś szeptał mu: Lea jest piękną i młodą — korzystaj z jej miłości! Teresa daleko — nie dowie się o tem nigdy....

Ale wrodzona zacność i szlachetność jego zwyciężyły chwilowe zapomnienie się.

— Nie — pomyślał, — Lea nie potrzebuje się niczego obawiać z mej strony. Miłość moja dla Teresy jest tarczą, która mnie strzeże — za nic w świecie nie sprzeniewierzę się tej, którą kocham!

— Leo, — rzekł teraz, wstając, — z twego powodu muszę dom wasz opuścić. Jeszcze tylko trzy dni zabawię u was, w tym czasie wyszuka mi Walenty jaką kryjówkę. I wtedy podziękuję ci za twoją dobroć i litość....

— A ja umrę! — zawołała Lea z rozpaczą.
— Niech Bóg broni! Pokochasz innego, godniejszego i zapomnisz o mnie!
— Nigdy! Nie znasz mego serca!
— Czy twój brat wie o tem — że —
— Że cię kocham? Wie, ale on chce mnie wydać za jakiego wysokiego urzędnika albo arystokratę.... O, bo on jest ambitny, a ja mam służyć mu za środek do celu.
W tejże chwili ukazała się koło altany jakaś postać, której ani Henryk ani Lea nie widzieli. Dwoje złośliwych, błyszczących oczu patrzało uważnie na siedzących w altanie, a usta brzydkim wykrzywiły się uśmiechem.
— Zimno — rzekł teraz Henryk, ujmując rękę dziewczęcia, — wróćmy już, bo się zaziębisz!
Lea oparła się na jego ramieniu, już to samo zbliżenie się do niego było dla niej szczęściem, i tak wyszli oboje z altany, zwracając się ku domowi.
Szpieg szedł zdaleka za nimi niepostrzeżenie, a gdy się drzwi domu zamknęły, pobiegł szybko pod rozłożyste stare kasztany i patrzał pilnie w okna, aby zobaczyć, w którem teraz zajaśnieje światło.
— Aha, — szepnął, — trzecie okno z prawej strony na drugiem piętrze! Poczekaj mój Samuelu, teraz usunę cię łatwo z drogi. Zaczynasz mi zawadzać, przeklęty żydzie! Ty chcesz mnie uczynić nieszkodliwym, tymczasem ja cię uprzedzę. Kto oczernia siostrę, ten gubi ją i brata!
I śmiejąc się szyderczo wyszedł z ogrodu Lebela.

— — — — — — — — — — — — —

Następnego wieczora siedziało w wykwintnym salonie zamku królewskiego trzech panów przy kartach.
Był to Wielki książę i dwaj jego wierni słudzy, których raz po raz raczył do siebie na karty zapraszać, żyd Lebel, i baron Bondi.
Przy drzwiach stało dwóch paziów w ładnych czerwonych mundurkach, koło bufetu zaś, zastawionego najrozmaitszemi potrawami i przysmakami stał kamerdyner księcia, który miał rozkaz obnoszenia potraw i nalewania wina, gdy kielichy były próżne.
Nagle rzucił książę karty na stół, był to znak, że gra już go znudziła.
— Nie bawią mnie już karty, — zawołał niechętnie. — Nie mogę myśleć o niczem innem, jak o tym spisku na moje życie! Co sądzisz o tem Lebel? Czy napad na buntowników w starych wodociągach przytłumił bunt, czy też łotry te dalej pracują?
— O ile mi moi agenci donieśli, — odrzekł Lebel, — to pewna część członków tajnego związku ocalała. — Nie mając innego wyjścia, rzucili się w wodę i wypłynęli. Kozaków zginęło tam ośmset. Gdyby Wasza książęca Wysokość był mnie spytał wówczas o radę, byłbym stanowczo od tego napadu odradził.
Mówiąc to, spojrzał Lebel wyzywająco na barona.
— Nie byłeś wówczas zadowolonym, to prawda, — zaczął znowu książę. — Przyznaję, że postapiliśmy bardzo nierozważnie, ale podług wiadomości, jakie mi przysłał baron Bondi, należało wątpić, czy buntownicy byliby nazajutrz jeszcze raz tam się zebrali!
— Baron Bondi wyświadczył Waszej książęcej Wysokości wprawdzie niezmierną przysługę, szkoda tylko, że nie postarał się o to, aby wiedzieć dokładnie o wszystkiem!
— Jakto?
Trzeba mu było nie tylko uwiadomić Waszą książęcą Wysokość o miejscu zebrania się buntowników, ale i o tem, czy ucieczka ztamtąd była możliwą Polakom. Gdyby się było wiedziało o owych żelaznych drzwiach, to ani jeden Polak nie byłby uszedł z życiem!
Blada twarz barona pozieleniała.
— Uczyniłem to, co mogłem, — zawołał szorstko, — jeżeli mi pan Lebel odmawia zasługi, to można się łatwo domyśleć, dlaczego to czyni!
— Co to ma znaczyć? — krzyknął Lebel.
— Że mi pan zazdrościsz!
— O, wcale nie, — odrzekł żyd wstając i mierząc barona szyderczem spojrzeniem, — nie wiem doprawdy, czegobym panu miał zazdrościć! Może jedynie tego wzruszenia, jakie przechodziłeś pod czarną kapą — gdy cię przywięzywano do pnia! Ale uspokój się pan — ja ci nawet tego nie zazdroszczę!
Bondi położył rękę na szabli, ale książę rozśmiał się i zawołał żywo:
— Możecie walczyć, ale tylko na słowa. Broni nie ruszać! Zresztą zgódźcie się lepiej, bo obydwaj jesteście mi potrzebni!
— Ale ja wiem, — zaczął Bondi, — że pan Lebel intryguje potajemnie przeciwko mnie, i właśnie dlatego dobrze, że się raz o tem stanowczo rozmówimy. On nie chce, abym ja służył Waszej książęcej Wysokości, lęka się o swoje miejsce, myśląc, że ja pragnę je zająć.
— Broń Boże, — odrzekł Lebel wyniośle. — Chcąc zajmować moje stanowisko, trzeba być czemś innem jeszcze, niż szpiegiem i zdrajcą!
Bondi drżał ze złości i teraz wymierzył cios przeciwko żydowi, cios, na który się już od wczorajszego wieczora przygotowywał.
— Bardzo słusznie, — zawołał, — trzeba być jeszcze czemś innem. Najpierw trzeba umieć zbogacać się w najrozmaitszy, godziwy i niegodziwy sposób — jak to zwykle żydzi potrafią, a potem.....
— Tak, — przerwał Lebel, — pieniądz, to potęga i mądry ten, kto umie pieniądze zbierać. Tego też nie każdy potrafi, pomimo najszczerszych chęci!
— I nie każdy potrafi rodzoną siostrę sprzedać....
— Milcz!
Lebel wymówił to jedno tylko słowo, ale oczy jego tak groźny przybrały wyraz, że Bondi zadrżał i cofnął się czemprędzej za stół.
— Tak jest, — rzekł teraz nieco odważniej, — pan własną sprzedajesz siostrę!
— *Odpowiesz mi za to krwią twoją, nędzniku, — krzyknął Lebel, dobywając szabli.*
Bondi musiał się bronić i w jednej chwili zadźwiękła stal obydwóch przeciwników. Ale książę zerwał się z krzesła i wyciągnął rękę.
— Cóż to, bić się tu chcecie? — krzyknął piorunującym głosem. — W mojej obecności? Chyba nie wiecie, że za to mogę was natychmiast posłać do cytadeli! Tam odzyskacie może przytomność!
Bondi spuścił szablę, niechciał on księcia gniewać, ale Lebel trzymał ją zawsze jeszcze podniesioną, a ręce drżały mu jak we febrze. Twarz jego była siną zupełnie.
— Wasza książęca Wysokość, — rzekł urywanym głosem, spuszczając teraz także szablę, — baron Bondi obraził to, co mi jest najdroższem na świecie! Moja siostra! Ja miałbym sprzedać moją siostrę! O Wasza książęca Wysokość nie ma pojęcia, czem ona jest dla mnie! Moim skarbem, bóstwem jedynem!
I w oczach żyda łzy stanęły.
Książę zwrócił się teraz do barona.
— Baronie Bondi, — rzekł ostro, — rzuciłeś na Lebela i jego siostrę obelgę, której pewnie udowodnić nie możesz. Ja także słyszałem o tem, jak wzorowym on jest bratem i jak cnotliwą jest jego siostra — myślę więc, że się tym razem omyliłeś, albo że cię źle powiadomiono..... Przeproś Lebela — on się zadowolni tem, gdy mu oświadczysz, że żałujesz tego, coś powiedział!
— Nie Wasza książęca Wysokość, — odpowiedział Bondi, patrząc wyzywająco na Lebela, — każde życzenie Waszej książęcej Wysokości jest mi świętym rozkazem, ale nie mogę kłamać. Byłoby to niegodnem szlachcica — i dla tego powtarzam raz jeszcze to, co powiedziałem. Pan Lebel pozwala na to, że siostra jego przyjmuje u siebie wieczorem mężczyzn — mogę to udowodnić!
Głuchy jęk wyrwał się z piersi Lebela. Zimny pot wystąpił mu na czoło.
— Ach, łotrze, — krzyknął, — dowiedź mi tego! Jeżeli mnie przekonasz, że moja siostra tak się zapomina, to przeproszę cię pokornie za to, że cię nazwałem łotrem i nędznikiem! Ale w przeciwnym razie strzeż się, potwarco. Na kolanach będziesz błagał o przebaczenie mnie i mojej siostry, ja cię zmuszę do tego!
— Zgoda! Wiem co mówię, — odrzekł Bondi z bezczelnym uśmiechem. — Załatwię nawet tę sprawę w sposób bardzo dla pana delikatny! Nie chcę, abyś pan się przedemną rumienił — wracaj więc zaraz do domu i przekonaj się, jak rzeczy stoją. Ja zostanę tutaj, jeżeli Wasza Książęca Wysokość pozwolisz. Za godzinę pan Lebel wróci i powie nam, czy się omyliłem, wiem zaś na pewno że on nie skłamie! Niech tylko szuka pilnie w pokoju swej siostry!
— W jej pokoju!

(Ciąg dalszy nastąpi.)